



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół, kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

JESIEŃ

(przekład z Sally Prudhomme'a).

Namiot niebios już nie jest błękitem bez cieni;
Co chwila jakiś drżący liść z drzewa upada;
Gdy w las przedrze się smuga słonecznych pro-

[mieni,

Blask to już nie gorący, światłość to już błada...
Lecz w sadzie zgina gałąź owoców kaskada,
Grono winne pełnością soków się rumieni.

Siła natury dzieło spełniła, i lato
Uchodzi, dokonawszy swego przeznaczenia.—
Człowieku! lat tysiące ty się patrzysz na to,
To przykład—pora roku i tobie się zmienia.
Dziś prosty, jutro barki pochylił garbato,
Jutro zaczną ci włosy rzędnać u ciemienia...
Życie ludzkie zasobnem może być bogato,
I wstyd! biada! gdy starość zejdzie cię — bez

[mienia...

Marya Ilnicka.

POGA WĘDKA.

Coraz więcej skupia się i rozpala ognisko towarzyskiego i artystycznego życia u nas w miarę zbliżania się pochmurnej i dżdżystej jesieni, któ-

ra zasępiać zwykła niebo, ale rozpogadzać fizjognomią Warszawy.

Pierwsze hasło „sezonu“ daje zazwyczaj muzyka u nas, i ona też odezwała się w uroczy sposób głosami miłych gości ze Lwowa, którzy zjechali do Warszawy, złożyć wizytę Towarzystwu Muzycznemu w imieniu śpiewackiego stowarzyszenia „Lutnia“, przedstawić się tutejszej publiczności i krytyce, której głos najbardziej ceniony jest w prasie polskiej, a wreszcie zebrać trochę grosza na wydawnictwo „Śpiewników“ kwartetowych w języku polskim.

Przybyło tedy dwunastu członków „Lutni“ w zeszłym tygodniu ze swoim prezesem, p. Romualdem Makarewiczem, i dyrygentem chóru, panem Stanisławem Cetwińskim, na czele. Potrójny ten kwartet, poprzedzony nader pochlebny rozgłosem, odrazu ujął sobie słuchaczy i znawców i jak najlepiej zarekomendował ogół lwowskiego towarzystwa, złożony z samych amatorów, którzy w zbiorowych swoich śpiewach stali się skończonymi artystami.

Trudno wyobrazić sobie w tym rodzaju przyjemniejsze wrażenie nad to, jakie swojemi głosami, złączonymi w jeden strojny, dźwięczny, czysty organ—sprawiają „Lutniści“ lwowscy.

Zdaje się słuchaczowi, że jakiś osobliwy instrument nie do naśladowania rozbrzmiewa pod palcami znakomitego wirtuoza, który umie z całą swobodą i pewnością wydobywać z niego rozmaite efekta, nie tylko dla słuchu, ale i dla serca swojego audytoryum.

Pod względem artystycznym, tedy koncerta „Lutni“ zasługiwały na uwagę znawców i nieznanców, były pięknym dowodem usilnej i umiejętnej pracy głównego kierownika tego wyjątkowego chóru i jednego z jego twórców we Lwowie, p. Stanisława Cetwińskiego—były wysoce zachęcającym przykładem solidarnej wytrwałości harmonii, nie tylko pod względem muzycznym. A poza tem, należały się słuszne względy braterskiej

i sąsiedzkiej gościnności śpiewakom naszym, którzy uroczą pieśń swoją przywieźli nam na gościniec; zdawało się, że publiczność warszawska dosyć będzie miała powodów do zajęcia się koncertami „Lutni“, przynajmniej w tymsamym stopniu, w jakim zajmuje się wędrowną gromadką obcych grajków i hecarzy.

Stało się inaczej: popisy kwartetowe lwowskich gości, chwalone i oklaskiwane z entuzjazmem przez słuchaczy i krytykę, nie zgromadziły ani w Salach Redutowych, ani w Teatrze Wielkim, ani w Resursie Obywatelskiej takich tłumów publiczności, jak przypuszczać należało.

Prus bardzo dowcipną i złośliwą uwagę zrobił w ostatnim swoim feljetonie, że „zdaniem znawców, nierównie więcej byłoby się zebrało miłośników muzyki na koncercie w Teatrze Wielkim, gdyby „Lutnia“, oprócz swoich pieśni, przywiozła jeszcze np. barana z sześcioma nogami i takowego pokazywała na scenie.“ Goście nasi powrócili po tygodniowym pobycie do Lwowa, zapewne z tem moralnem przekonaniem, że muzykalnej Warszawie zaimponowali swym artystycznym śpiewem, ale Warszawa nie zaimponowała im ani swą okrzyczaną melomanią, ani zamiłowaniem sztuki i serdeczną gościnnością dla swoich.

Nie przeszkadza to wszelako, abyśmy za jakie dwa lub trzy lata, w zwiększonym komplecie nie mieli znowu powitać „Lutni“ na naszych koncertowych estradach, a wówczas może zdobędziemy się dla niej na godniejsze przyjęcie i żywsze zainteresowanie się.

Do tego czasu wszelako moglibyśmy się postarać o zorganizowanie podobnego kwartetu z naszych miejscowych sił, tylko że nam zwykle nie materyału braknie, ale kierownictwa, nie dobrych chęci, ale energii i wytrwałości w ich spożytkowaniu.

Utworzenie dobrego chóru amatorskiego rozbiłoby się, a właściwiej będzie powiedzieć: „roz-

łaziło się" zawsze z braku dobrego organizatora i kierownika.

Ambicji, zatargi, intryżki w naszym świecie muzycznym, są tym piaskiem, nasypałym w mechanizm pozytywki, która czystego tonu nie może wydawać i jasnej harmonii trudno z niej wydobyć.

Mamy Instytut Muzyczny, który w ciągłym antagonizmie żyje z Towarzystwem Muzycznym, a to znów próbuje wchodzić mu w drogę przez utworzenie osobnej szkoły śpiewu i gry na instrumentach; mamy salony muzyczne, które stanowią wrogie sobie obozy i dzielą swoich gości na stronnictwa nieprzejednane. Mamy ciągle kwestye nierozwiązane, wywołujące kakofonie, zamiast harmonii, w sferach muzycznych.

Towarzystwo Muzyczne, instytucja mogąca zdobyć sobie i utrzymać bardzo łatwo szeroką popularność, corok prawie przechodzić musi jakieś mniejsze lub większe wewnętrzne zaburzenia, nie może zdobyć się na równowagę, wyleźć z niedoboru i kłopotów finansowych.

Ot, i obecnie na porządku dziennym staje sprawa dymisji dotychczasowego dyrektora, p. Zygmunta Noskowskiego, która dziś już tworzy walkę stronnictw i nurtuje ukrytym prądem towarzystwo; prawdopodobnie wybuchnie on na jaw podczas zapowiedzianych rozpraw walnego zebrania.

W łonie komitetu zrodził się projekt utworzenia do czasu nowych wyborów, przypadających pod koniec zimy, zbiorowej dyrekcji, któraby nie nosiła żadnej osobistej firmy.

Komitet pragnie w ten sposób odwrócić od siebie wszelkie podejrzenie, że działał w widokach własnego interesu, albo na korzyść jakiej protegowanej jednostki.

Kandydatura na dyrektora Towarzystwa Muzycznego, wymaga u nas nie tylko specjalnego uzdolnienia fachowego, ale także warunków właściwej indywidualności, pewnego organizatorskiego sprytu, stosunków, obycia w świecie, tego *savoir vivre*, bez którego można być bardzo dobrym muzykiem, poważnym kompozytorem, a więcej szkodzić, niż dopomóc, kierowanej przez siebie instytucji. Te względy osobiste z konieczności odgrywają tu ważną rolę i doświadczenie pokazało, iż liczyć się z niemi potrzeba, nawet bardzo.

Powróćmy jeszcze do tego przedmiotu, skoro sprawa następcy p. Noskowskiego przybierze wyraźniejsze zarysy; na teraz życzyć-by tylko należało, aby Towarzystwo Muzyczne, mające na celu harmonią towarzyską i artystyczną, uniknęło przykrego rozdzwieniu i rozstroju.

Zwracając się raz jeszcze do odwiedzin „Lutni” i miłego wrażenia, jakie nam po niej pozostało. — zapytać się godzi: czy to na prawdę takie trudne zadanie dla prawdziwych miłośników muzyki: zorganizować dobrany chór, albo wzmożony kwartet i uprzyjemnić sobie i innym chwile życia pięknym śpiewem?...

Zagranicą każde miasteczko niemal ma swoje kółko śpiewacze, do którego należą młodzi i starzy, ludzie wszelkich stanów i zawodów, mężczyźni i kobiety.

Czy coś podobnego nie dałoby się zorganizować u nas, tak w Warszawie, jak na prowincyi? W ciągu kilku lat rozwinęłyby się takie towarzystwa, rozsiewając na niwie harmonii plenne nasiona, uszlachetniając smak i rozbudzając zamiłowanie do sztuki.

Ta nieszczęsna krańcowość, niestety, brzdzi nam zawsze; stara to prawda, że na generałów i dowódców nie brakło nam nigdy kandydatów, tylko o prostego żołnierza było najtrudniej.

Tak prawie we wszystkim.

Jeżeli śpiewak, to chce być solistą odrazu, jeżeli wejdzie w towarzystwo jakie, lub korporacją, radby stanąć na czele; „drugich planów” unikają wszyscy, a do zbiorowej pracy wspólnymi siłami chętnych niewielu, a wytrwałych jeszcze mniej.

Ileż towarzystw naszych doświadczyło tego musiało po dłuższym lub krótszym przeciągu czasu! Jednym ze szczęśliwszych, rozwijających się pomysłnie nabytą siłą, jest nasze Towarzystwo Wiosłarskie; w niedalekiej przyszłości przybędzie mu nowy czynnik rozwoju i większego spopula-

ryzowania przez dopuszczenie do udziału w sporcie rzeczonym... płci pięknej.

W ostatnich czasach zwiększył się zastęp zwolenniczek wiosłowania. Z praktyki dobiegającego sezonu wiosłarskiego okazuje się, że w obecnej chwili kilkadziesiąt Warszawianek umie już doskonale obchodzić się z wiosłem i sterem.

Nie potrzebujemy nadmieniać, jak korzystnym dla fizycznego rozwoju naszych pań i panienek mógłby być taki rodzaj sportu, wyrabiającego siły muskularne i zdrowie wątłego zazwyczaj organizmu kobiecego. Z przyjemnością przeto dowiedzieliśmy się o projekcie założenia w Warszawie klubu wiosłarek, który powstać ma albo odrębnie od Towarzystwa Wiosłarskiego, strzegącego zbyt surowo przywileju jednej płci, albo też wejść pod jakimkolwiek słusznym pretekstem w skład tej sympatycznej i pożytecznej instytucji.

Już w przyszłym roku zatem pozyskamy może nową żeńską korporacją, o której jakiś komplementarzysta dziś już powiedział, że rozsypawszy się w drewnianych łupinach po Wiśle i szybując z jej wartką falą, przekona wkrótce, iż „kwiaty nie tylko na ziemi, ale i na wodzie wyrastają.”

Wszelki objaw samodzielności kobiet naszych cieszy nas i nową otuchą napełnia, a zwłaszcza, kiedy ta samodzielność rozwija się na gruncie praktycznym, i kobiecie w naszych warunkach społecznych, ekonomicznych i przemysłowych zapewnia stanowisko o własnych siłach, a niezbyt ryzykowne.

Podczas ostatniego egzaminu w Muzeum Pszczolniczym, rozdano 35 uczennicom dyplomy wykwalifikowanych pasieczniczek, a 8 z nich w dowód szczególnego uzdolnienia obdarzono nagrodami.

Wiele z tych pań, rozporządzając własnymi funduszami, zamierza urządzić pasieki na swoje własne ryzyko, inne otrzymały już korzystne oferty z różnych stron kraju, a głównie z gubernii zachodnich i południowych, gdzie będą zarządzały istniejącymi pasiekami za korzystnym wynagrodzeniem.

Każdy kawałek chleba, który kobieta uczciwie zapracować może, jest nader pożądanym i przynosi obopólny pożytek, zarówno jej, jak i społeczeństwu, zyskującemu coraz więcej produkcyjnych jednostek.

Niejednokrotnie zwracaliśmy uwagę na potrzebę wytworzenia dla słabszych, wątleszych i drobniejszych sił społecznych — osobnych rodzajów zajęcia i pracy.

Ta głośna sprawa emancypacji kobiet, która z początku rozbałamuciła tylko wiele słabych główek, wchodzi powoli na właściwsze tory, reguluje się i dostosowuje do warunków ogólnospołecznych. Nikt nie zaprzecza kobiecie prawa do rozwoju umysłowego i do pracy na własne utrzymanie godziwymi i odpowiednimi środkami, któreby się jej naturze, jej właściwościom i jej uzdolnieniu nie sprzeciwiały; byle ta praca tylko nie popolitowała, nie obniżała i nie obrażała za nadto kobiety, która ma tyle odrębnych zadań i obowiązków, tak w całej ludzkości, jak i w rodzinie.

Minęły te czasy i nikt do nich więcej nie wzdycha, kiedy kobiecie wystarczało być tylko ładną, a w dodatku i zdrową towarzyszką mężczyzny poza obrębem wszelkich jego prac zajęć i działalności publicznej i prywatnej; wiek dzisiejszy powołał kobietę do współdziałania z mężczyzną, a jeżeli nie na wszystkich polach wolno jej zająć równe stanowisko, to nie wina terrorizmu, przewagi lub nietolerancji mężczyzny, ale prawo natury: ona sama na wieki granice te zakreśliła.

Praca nad sobą, nad rozwojem i ukształceniem umysłu, jest też pierwszym i nieodzownym warunkiem dobrze zrozumianej emancypacji kobiet, której znaczenie i rozległość światły rozum, właściwy instynkt i krytyczne pojęcie dojrzałej umysłowości same najlepiej określają i ograniczają.

Zbyt śmiałe hasła i za dalekie cele stawiają sobie i innym tylko niedowarzone i nierozwinięte naleźycie głowy, które zarozumiałość podnosi za wysoko, a odurza frazes, zaledwie w połowie zrozumiany...

Ten obowiązek pracy nad sobą i nad wykształceniem swoim ma mnóstwo środków na podreżcu; jednym z najważniejszych jest czytanie, zasilanie umysłu stale pewną sumą wrażeń, pojęć i wiadomości, rozwijających inteligencją kobiet, zarówno jak i mężczyzn.

Czy nasze panie dużo czytają i dobrze? czy starają się gruntownie zapoznać z literaturą swoją i obcą?.. nie chcemy stanowczo odpowiadać na to pytanie. Książka bywa zawsze jeszcze traktowana więcej jako rozrywka przyjemna, jako deser po obiedzie, aniżeli jako potrzeba, jako pożywienie zdrowe i wzmacniające. A w iluż wypadkach książkę zastępuje tylko dziennik brukowy, albo wesołe ilustracje pism humorystycznych!...

Zazwyczaj znajduje się tłómaczenie w „braku czasu i w nawale zajęć domowych, gospodarskich i rodzinnych”. Wymówka to, jak każda inna, bo przy dobrej chęci znaleźć się powinien i musi czas na czytanie, a nawet wejść ono może, jako pomocniczy środek pomiędzy owe zajęcia.

Rozliczmy się z zegarkiem w rękę: na przeczytanie dziesięciu kartek wystarczy dziennie pół godzinki, a zatem w ciągu miesiąca bardzo małym nakładem czasu mogłaby każda z pań, panienek, żon, matek i najbardziej zajętych gospodyń dwa lub trzy tomy lżejszego, poważniejszego dzieła co najmniej przeczytać.

Od rozkładu dnia, od ekonomii godzin zawisło wszystko; trzeba umieć podzielić sobie zajęcia i na wszystko znaleźć odpowiednią chwilę, tylko niech ich za dużo nie przemija na drobnośtkach, na głupstewkach beużytecznych, na marnowaniu Bożego dnia i długiego wieczora do późnej nocy.

Stanowczo, zarzut robiony płci pięknej, zwłaszcza z klasy zamożniejszej, że marnuje bez porównania więcej czasu, pomimo pozornego zajęcia od mężczyzny, jest zupełnie uzasadnionym.

Przypatrzmy się owym rautom, wieczorom, zebraniom towarzyskim w poście i karnawale, w ciągu całego sezonu zimowego: ile one zabierają beużytecznie chwil z życia płci nałobnej i ile pustki wytwarzają w umyśle!

Gdyby przynajmniej opłacało się to wszystko dobrą zabawą lub przyjemną rozrywką; ale, niestety, coraz częściej, jak powiedział jakiś humorysta, wachlarz służy naszym damom do tego, by za nim z nudów ziewano, aniżeli do zakrywania uśmiechniętych z zadowolenia ust.

Rozpoczynający się sezon jesienny towarzyskich zebrań, przywodzi nam na myśl potrzebę pożyteczniejszej reformy naszych „wieczorów”, zwłaszcza z większym udziałem płci pięknej; niechaj przewodniczki inteligencji salonowej obmyślą sposoby ożywienia i zainteresowania takich zebrań umysłowymi rozrywkami; niech nie pozwolą upaść wprowadzonym w roku ubiegłym „kółkom literackim” i wspólnym czytaniem zapełniają całe godziny, marnowane zwykle na banalnej rozmowie, brukowych ploteczkach i analizie najświeższej mody.

Inaczej wyjałowuje jeszcze bardziej niwa naszego towarzyskiego życia, a przedaź tak łatwymi środkami możnaby rozbudzić je i zorganizować pożytecznie, nie według starej modły, która się dawno już zużyła.

Mysłcie panie o tem i starajcie się znowu pochwycić berło dawnego królowania w salonie, które się wam, niestety, coraz bardziej z rąk wysuwa, spróbujcie przyciągnąć znów do salonu tych uciekinierów we frakach, co się kryją po kątach i są coraz większymi zwolennikami separatyzmu towarzyskiego.

FRYC I FRYCEK

NOWELLA

Michała Wołowskiego.

(Dalszy ciąg).

— Pojechał! — z bólem w głosie szepnęła baronowa.

— Czy tatko prędko powróci?—nie wiedząc jaką boleść sprawia tem matce, pyta Stella. Jeden tylko doktor milczy.

Twarz tego człowieka mówiła wiele; wieku jego określić było niepodobna: to pewno jednak, że malowało się na niej łagodne cierpienie, że z wysokiego czoła tryskała myśl mężka, energiczna, z karminowych ust wydobywało technienie zdrowe, a przypruszone siwizną kędziory, otaczając kontury głowy, czyniły z niej niesłychanie sympatyczną i pociągającą całość. Ze Stellą rozmawiał poangielsku — a strój jego przypominał ubiór farmerów irlandzkich.

Tak, ten doktor był synem zielonej wyspy — tęsknym i marzącym jak wszystko co, ją otacza. Był Irlandczykiem czystej krwi, nienawidzącym Anglików i Niemców.

— Pojechał, nie wróci już nigdy — szepnęła baronowa bezsilnie, osuwając się na stojącą w ganku ławkę, łączy jak perły staczały się po jej obliczu, nie odpowiadając córce nic, bo i cóż miała odpowiedzieć?... potępić ojca przed dzieckiem?... odkryć przed niem zasłone?... i okazać męty? o! ona by tego za nic nigdy nie uczyniła. Stella patrzyła również w tuman kurzu, który powoli opadał, a na jego miejsce w odległej panoramie ukazały się wieżyczki kościołów i dachy domów miasta tegoż nazwiska, co i wioska Noisette'a.

— Mammo — szepnęła dziewczę — opowiedz mi jak to było, ja chce usłyszeć z ust twoich raz jeszcze, te piękne rzeczy o księciu Henryku de Latour d'Auvergne Turenne.

— To był prawdziwy Francuz, kochał ojczyznę nadewszystko i ta ojczyzna nie zapomni mu nigdy jego czynów.

— To tam, mameczko, gdzie widać te wieżyczki i te dachy, Turenne bił Niemców?

I wszystkim jakaś czarna, ołowiana myśl osiadła na mózgu. Zamilkli, a każde patrzyło w inną stronę: baronowa na zachód, doktor ku północy, a Stella w przestrzeń poza góry.

Od wschodu ozwał się chóralny śpiew jakiś — to robotnicy wracali z Wissenbourga.

— A oni z kąd idą, mameczko?

— Od ostatnich krańców naszej ziemi.

— Czy tam, mameczko, nie było Turenusza? — zaszczębiotało dziewczę znowu.

Doktor i baronowa skinięciem głowy przeczącem odpowiedzieli na to pytanie. Dziewczę szczebiotało dalej:

— Panie Józefie, panie doktorze, ty dobrze mówisz, tę Francją trzeba kochać, bo ona taka piękna.

— Trzeba kochać, choćby brzydką była. I zwiereżęta kochają swoje gniazda i swoje legowiska: miałaby człowiek być gorszym od nich?

I szeptał tak dalej doktor nad głową dziewczynki i opowiadał jej dzieje te wspaniałe a piękne z przeszłości.

Dziewczę schyliło główkę na ramię doktora, często zatrzymywało prawie oddech swój w pierśsiach, gdy na jego ustach błędził jakiś dramatyczniejszy epizod przeszłości, a — to łąza na oczach, to uśmiech na ustach, to duma, to zachwyt znajdowały swój wyraz na tem budzącem się do życia obliczu.

Słuchała z uwagą tych opowiadań, nie tylko Stella, słuchała i baronowa, a gdy się zmierzchno zupełnie, szepnęła zeicha:

— Dosyć już na dzisiaj, doktorze, ona już i tak przez ciebie umie kochać swój naród. Patrz na ten rumieniec jej twarzy: śnić w gorącece całą noc będzie, niech idzie spać. Chciałabym i ja jeszcze ciebie posłuchać i mnie twych rad i uwag potrzeba.

Stella na te słowa matki podniosła się spokojnie, ucałowała ją, doktorowi na pożegnanie podała policzek i pobiegła do swojego pokoiku. Służąca opowiadała później matce, jak dziecko to przy modlitwie do zwykłego pacierza dodawało: Boziu, daj szczęście Francji.

Po wyjściu Stelli baronowa żywo zwróciła się ku Józefowi.

— Widziałeś go pan dzisiaj? — zawołała — widziałeś jak lekkomyślnie podpisał podany sobie przez Niemca papier? Mülhausen w długach, niepodobna takiego stanu dłużej wytrzymać; mnie już opadają ręce. Ja nie wiem co czynić dalej.

— O, ręką opadać nie wolno! Stoisz pani na posterunku: pracować musisz za niego i za siebie; jesteś córką Francji i matką dziecięcia, które nosi nazwisko twego męża. Nie wiem jak tutaj patrzają się na te stosunki u was, ale u nas, w Irlandyi, kto sprzedaje ziemię ojczystą, kto puszcza ją na bożą opiekę, kto zapomina o tem, że na niej nie sam dla siebie żyje, ten nazywa się... tu doktor się zawahał.

— Kończ, kończ, panie — gwałtownie prawie zawołała baronowa.

— Zdrajcą...

Baronowa drgnęła; wyraz ten zabolął ją, a jednak szepnęła:

— Mów pan dalej.

— O! wy ich nie znacie, to są pijawki, które w egoistycznych celach wysysać są gotowe krew waszą, to są ludzie o kamiennych sercach, a żelaznych dłoniach; gdy stopę swoją raz usadowią na kawałku ziemi, już potem zagarną ją całą. Tu kresy ziemi waszej: tu większa baczność, większa uwaga wasza powinna być skierowana na to, co się wokoło was dzieje. Siłę pięści Francya odeprzeć potrafi pięścią własną, bohaterstwem; pod siłą ich sprytu — legnie. Obrona na tem drugim polu jest większem bohaterstwem i większym obowiązkiem, aniżeli odkrycie piersi na grad kul lub śmierć przy sztandarze. Przy obrobie na tem polu potrzeba większego bohaterstwa i większego zaparcia się siebie.

Doktor mówił coraz głośniej, zapalał się coraz bardziej, wystawiał skutki abnegacyi i apatyi coraz energiczniej, a Bianka pod siłą jego wymowy, drżała coraz bardziej i coraz smutniej robiło jej się w duszy.

— Cóż więc czynić? — spytała w końcu.

— W tej chwili nic — odparł doktor. — Von Müller zjawi się pewnie tu wkrótce, zechce podpisać kontrakt. Zobaczymy co uczyni, a potem dopiero rozpoczniemy przeciwdziałanie.

Gdyby doktor znał był choć odrobinę serce ko biece i ludzkie i mógł widzieć cokolwiek więcej, byłby w tej chwili ujrzał wpatrzony w łągodną jego twarz oczy Bianki, wyraz uwielbienia i zachwytu, jaki się malował na jej twarzy, a może i coś więcej byłby z niej wyczytał czego usta wypowiedzieć nie mogą łatwo, a co serce tak doskonale czuje.

— Pan mi nie odmówisz pomocy, wszak prawda? — zawołała wyciągając ku doktorowi rękę.

— Ach! tak pani, choćby dlatego, że ich tak mocno nienawidzę.

I zamilkli oboje po uścisku dłoni, jaki zamienili ze sobą.

— Już późno! — zawołała ona — pójdę do Stelli.

— Pójdę odwiedzić moich chorych — dorzucił doktor — i rozeszli się.

Właściwie poszedł tylko on ku białemu, małow domkowi, w którym mieścił się szpital.

Ona stanęła jeszcze we drzwiach ganku, scigała go wzrokiem ze złożonemi, jakby do modlitwy rękoma, towarzyszyła mu myślą serdeczną aż do chwili, w której całkiem jej z oczów zniknął.

Na niebie mrugały gwiazdy, w naturze panowała spokojność i cisza; w wiosce sen otulił nędzę i bogactwo; noc roztoczyła swe cienie i dała spoczynek światu, — nie dała go tylko dwóm duszom: Biance i doktorowi.

Nazajutrz, skoro świt tylko zabłysnął w Mülhausen zapanował ruch wielki, wszyscy dążyli do pracy, a z ust do ust biegła nowina, że do wsi przyjeżdża jakiś niemiecki inżynier, że na gruntach barona de Noisette stanie nowa fabryka: i cieszył się lud biedny, nie wiedząc sam z czego. Spodziewał się nowego źródła zarobku i liczył, że zmniejszy się jego nędza. Lud ten alzacki zresztą podobnym był do wszystkich ludów: jeszcze kochał ziemię, na której się urodził, bo ona mu chleb dawała, ale nie rozumiał zupełnie skutków niemieckiej roboty, nie obliczał następstw usadowienia się jednego Niemca więcej na ziemi francuskiej.

W parę godzin po wschodzie słońca na tym samym wózku ciągnionym przez chudą szkapę w towarzystwie żony i syna przybył do Mülhausen,

Fryderyk von Müller, aby swoją stopę na nienawistnej ziemi postawić.

Tuż, kilkanaście metrów, poza pałacykiem Noisettów stał nawpół rozwalony domek. Von Müller zsiadł z bryczki, obejrzał go dokładnie, wyjął swoją książkę z ołówkiem z kieszeni, przez czas jakiś liczył w niej, stawał cyfry, przekreślał, aż w końcu, widocznie po dobrym rezultacie tego rachunku, uśmiechnął się, książkę zamknął i schował do kieszeni, a sam energicznym krokiem znów ku pałacowi podążył.

Tym razem na ganku spotkała go sama baronowa.

— Ach! pan już u nas! — zawołała.

— Tak pani, do roboty zwykłem się brać energicznie; chcę ją rozpocząć jaknajprędzej, aby jaknajprędzej też zaczęły napływać do kieszeni pana barona miliony, które mu obiecałem. My wszyscy jesteśmy ludzie rzetelni, lubimy dotrzymywać słowa.

— Czemże więc panu służyć mogę?

— Mam żonę i syna; dla siebie i dla nich potrzebuję pomieszczenia; już je wybrałem. Opodal stoi stary rozwalony domek; wyrestauruję go sobie; prosiłbym tylko pani baronowej o wydanie odpowiedniego polecenia plenipotentowi do oddania mi w posiadanie tej rudery; na mocy wstępnej mojej umowy z panem baronem mam do tego prawo.

Baronowa skrzywiła się. Ta stara rudera, jak ją nazwał von Müller, była lamusem, niejako rodzinną pamiątką, o której odbudowaniu mówiono już oddawna, ale na nie zdobyć się dziś niepozwalały fundusze. Von Müller dosyć długą chwilę czekał na odpowiedź; w końcu baronowa nieśmiało znów zwróciła się do niego z pytaniem:

— Możebyś pan mógł inną miejscowość ku temu celowi swemu wybrać?

— Dlaczego?

— Bo... bo... to pamiątka.

Niemiec z właściwą sobie arrogancją się uśmiechnął, ale snadź już dobrze zrozumiał teorię siły ks. Bismarcka, bo brutalnie odparł:

— A! pani baronowo, co te stare cegielki mogą być warte?! Kupa gruzów — nic więcej, ojczyzna nietoperzy i schronisko sów, które przed światłem uciekać muszą. W Europie już nikt na te błazeństwa pamiątkowe nie zważa uwagi.

— Być może panie v. Müller, ale ja na nie zwracam uwagę i dlatego...

— To pani wolno — przerwał, szybko podchwytyjąc Müller — ale ja muszę stać ściśle na gruncie naszej umowy z panem baronem. Jestem nawet bardzo delikatny: na mocy tej umowy, mógłbym obrać sobie tutaj pomieszkanie, w tym pałacu; widzi pani jednak, że wybrałem tę rudere.

Baronowa od stóp do głów zmierzyla mówiącego, wruszyła ramionami i szepnęła z naciskiem:

— A więc bierz ją pan sobie i... opuściła salę.

Von Müller uczuł się dotkniętym tem zachowaniem baronowej, którą sam obraził; policzki wydał i przez zęby syknął:

— A no, zobaczymy, czy taką dumną będziesz tutaj za lat kilkanaście i... poszedł.

Wkrótce na miejscu rudery, czy tam starego lamusa, stanął biały elegancko wyswieżony dom. Wyglądał on na pewien rodzaj maleńkiej willi z ogródkiem. Systematyczność niemiecka umiała przystroić ją tym porządkiem, który pomimo swej regularności jednak niesympatycznym jest. W ogrodzie, który Niemiec zagarnął pod swoje panowanie, widziałeś dużo pietruszki, marchwi, fasoli, grochu, a tylko różowe makówki i żółty słonecznik przypominały, iż to ogródek, a nie plantacja warzywna. Od chwili przybycia Müllera do Mülhausen rozpoczęły się też i górnicze poszukiwania na gruntach tej wioski. Baron de Noisette częściej przyjeżdżał tutaj, niż poprzednio, ale przyjazd jego radośnie tylko był witany przez Niemca; baronowa bowiem ze Stellą niktęły zwykle z oczów ludzkich na czas przyjazdu jego. Baron przepół zaledwie słuchał sprawozdań z dokonanych prac na gruncie Mülhausen przez Müllera: co jego to obchodziło?! Zachwycał się tym człowiekiem, który zawsze, ilekroć tylko do jego kieszeni zapukał,

niał na zawołanie pieniędzy. Kwitek maleńki, rodzaj wekslu, wystarczał ze strony barona na wydobycie pieniędzy. Tak łatwe źródło dochodów musiało też wywołać i odpowiednie ich marnotrawstwo. Baron żył całą pierśią, a jego Niemiec stał się prawie przysłowiowym. Przez parę dni opowiadano o nim dowcipne anegdotki w pierwszorzędnym salonach paryżkich. Baron twierdził, że ma „feblik“ do swojego Niemca, wierzył mu ślepo, gotów na każde skinienie podpisać wszystko z zamkniętymi oczyma, wszystko, co mu przedstawiał. Fryderyk von Müller nie mógł trafić na lepszy grunt do swych wielkich kulturtrengerskich celów, niż tutaj.

Müller był fanatykiem teorii egoizmu. Państwo w jego oczach powinno być silne i potężne, jeżeli ma dać szczęście swoim obywatelom; on, jednostka, obowiązany był na to szczęście pracować,—pracował więc...

Müller powiedział sobie: ja zacznę zjadać Francuzów, a Frycek dokończy, bo stary Fryc wiedział, że tak na jedno danie ich połknąć i strawić niepodobna. Schwycił już barona. Müllera przedź czy później zagarnie; ale cóż będzie robić Frycek? On dzieło niemieckiej kultury musi prowadzić dalej, musi tak obmotać nią kulturową innych, jak ojciec obmotał Noisette'a.

— Ja nie mam jeszcze wszystkich warunków—mówił do siebie von Müller— abym tego mógł dokonać: nie znam dostatecznie języka, zwyczajów; ale on to poznać musi—mówił do siebie von Müller.

Frycek podraszał: trzeba mu było dać naukę, której potęgę doskonale pojmował pionier kultury. Deliberował jednak nad tem długo stary Müller: jak go ma wykształcić? Długie nawet narady odbywał z małżonką swoją, aż w końcu przyszedł do wniosku, że dobrze będzie, gdy ta latorośl niemiecka nauczy się wielu mądrych rzeczy we francuzkiej szkole.

— Idei kultury już ja jego sam uczyć będę—powtarzał.

Rozpoczęła się tedy nauka młodego Frycka, pod okiem francuzkich nauczycieli z jednej strony, a z drugiej pod wpływem ojca, usiłującego wbić w młodą duszę, teorią swoją o egoizmie i o obowiązkach obywatela.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY J. I. KRASZEWSKIGO Z MAGDEBURGA.

XVI.

Otóż i dobiega do końca nudna pora ogórkowa, już się nawet tak dobrze, jak skończyła. Ubóstwo wiadomości powinny już ustać, a tymczasem nowych faktów wcale jeszcze niema. Zawsze tasama stara piosnka, tezsame troski tensam zastój i przesilenie. Przynajmniej, oile tu dowiedzieć się mogą, nic innego nie słycać w tym przedmiocie, tylko same skargi i utyskiwania, chociaż Chińczycy w pracowniach niemieckich budują dla siebie okręty, a Turcy każą sobie lać armaty. Ale za to cukier cierpi na hyperprodukcję i nikt go już kupować nie chce; zboże spada ciągle w cenie, a Ameryka czycha tylko na sposobność, aby dostarczyć w obfitości wszystkiego, czegoby zbraknąć mogło kochanej mamuni Europie.

Przez kilka tygodni dzienniki zapełniały kolumny swe opisami małego kraiku i małego miasteczka, o którym na parę miesięcy przedtem niktby nawet nie pomyślał, że istnieje. Wspaniały pałac biskupi w Kromierzyżu, ze swoim par-

kiem i lasami, polowaniem i wreszcie ze swym prałatem, zapalonym myśliwym—typ jeszcze średniowieczny,—nagle jakby cudem, wynurzył się z ciemności, w których był zatopiony.

Ale oto już i po wszystkim i Kromierzyż nownie zapadł w tę ciszę, z jakiej go na chwilę tylko wyrwano. Przy sposobności tylko dowiedzieliśmy się, że jest w nim biblioteka, jeszcze nieprzejrzana, a w niej znajdować się mogą i rzeczywiście skarby.

Wystawy i kongresy niedługo się też pokończą i nastanie pora teatrów. Gwiazdy śpiewu i gry dramatycznej, wielcy artyści koczujący po świecie już poogłaszały swe programmata na zimę.

W materii wystaw narobiono wiele hałasu z wystawą paryżką, która miała być jednocześnie i obchodem stuletniej rocznicy Wielkiej Rewolucji. Zdaje mi się nawet, że rozpoczęto już prace przygotowawcze; ale pomimo to wątpić potrzeba: czy ta wystawa rzeczywiście się odbędzie. Niemcy i Austria odmówiły zaszczytu uczestniczenia w niej, a oczywiście, wystawa europejska bez tych dwóch krajów, przedstawiających główne siły produkcyjne kontynentu, jest niemożliwą. Nie czuć wcale jeszcze potrzeby nowej wystawy, a nie wszyscy też mają ochotę obchodzić rocznicę takiego kataklizmu, jakim była Wielka Rewolucja. Obiecywano w nowym Babylonie wznieść nową Wieżę Babel, a tu wieża jakoś zapada się już, zanim ją wznesiono.

Wiele zresztą innych rzeczy, które narobiły dużego hałasu, mija, nie zostawiając żadnych po sobie śladów i żadnych też nie wydając następstw. Jedyne tylko elektryczność, będąca na porządku dziennym, nie przestaje wszystkiego zagarniać, wszstkich innych sił natury wyręczać. Podstawia się już w miejsce pary, powietrza ścieśnionego, przeciwnych dawnych sprężyn i innych przyrządów mechanicznych. Wątpić już nie można, że gaz jest już zgrzybiałym starcem, którego lada chwila strąci z tronu młoda, młode życie w sobie niosąca, mocarka. Ani się obejrzymy, jak nam elektryczność ogrzewać będzie piece w mieszkaniach, a nawet smażyć omlety. Piorun na usługach kuchni!—zaprawdę, to coś zakrawającego prawie na świętokradztwo. Wieki przyszłe, jeśli tak dalej pójdzie, ujrzą ciekawe rzeczy. Oby tylko z postępem moralnym i naukowym szedł w parze postęp moralny!—bo dziś tak jakoś dzieje się wręcz przeciwnie. Skazany na czytanie wszystkiego, pochłaniając dzienniki, które mi przysyłają, wraz ze spożywanem śniadaniem. Nie powiem, aby mi ono przez to lepiej smakowało. Wiadomości zaczynają się od morderstw a kończą na przeniwienieniach. Dzieci skracają sobie życie samobójstwem, a kobiety wyzywają się na pojedynek. W Paryżu fechtunek kobiecy jest w modzie. Za wymówkę służy. . gymnastyka, bo fechtunek ma bardzo dobrze działać na zdrowie. Ale dla płci słabej przydałoby się lepiej co innego.

Wogóle kobieta sięga już po wszystko, co pod nazwą sportu roznamiętnia nasze pokolenie, jak: jazda konna, polowanie—a czyni to w imię owej równości, którą sobie zdobyła. Obawiam się: czy w Anglii wkrótce walka na pięści (*boxes*) nie wejdzie w zakres wychowania kobiecego. Zaczynają już lekceważyć fortepian, jako instrument przygnębiający i zastępują go właśnie fechtunkiem. Mówić nawet nie potrzeba, że maski żelazne będą musiały z obowiązku być przywdziewanymi—bo czyż podobna, aby piękne buziaczki cierpieć miały skutkiem mody?

Ale dajmy już pokój tej gawędzie. Oto książka, która nam daje znowu kawałek obrazu tego Paryża portretowanego już niezliczoną liczbą razy. Pod wielu względami książka ta godną jest odczytania i pobudza do zastanowienia. Autor jej, A. Wolff (uczciwszy uszu: z Figara!) zna swój Paryż jak nikt inny, a ma spryt nielada; mógłby nim wielu obdzielić. Nowy ten tom, będący, jak sądzę, dalszym ciągiem zbioru *Mémoires d'un Parisien*, nosi tytuł szczegółowy *La haute nocte*. Wyrażenie to nie da się wprost spolszczyć; można je tylko zastąpić innem, równoważnem.

Zanim zajrzymy do treści żywo zajmującej,

musimy stwierdzić jedną rzecz. Wyrzuca się Babylonowi nowoczesnemu jego zepsucie, jego szalony zbytek, jego wyzdaną swawolę i t. d. P. Wolff stara się właśnie dowieść, że zepsucie w Paryżu podtrzymuje się i pełni przez cudzoziemców, przez tę ludność napływową, wiecznie kołyszącą się, jak fala. Ona-to spada na bruk paryżki całymi chmarami, przynosząc ze sobą swoje miliony, z którymi nie wie co robić. Jeżeli Paryż jest tak zgangrenowany, wina to Brazylijczyków, Wołochów, Turków, Rossyan—ba, nawet Polaków, a na ostatku i Amerykanów. Paryż sam, jego ludność są, jako żywo, czyste, jak śnieg białe. A zresztą, według autora, to, co się nazywa „tout Paris“, złożone jest z żywiołów najrozmaitszych, najróżnorodniejszych; nie dostreżesz pomiędzy nimi ani jednego prawdziwego syna dawnej *Lutetia Parisiorum*.

W części pewnej może to i prawda, ale wypadłoby zapytać się p. Wolffa: czy prawo nie skazuje zarówno ukrywającego rzecz skradzioną, jak i samego złodzieja? czy ten poczciwy Paryżanin, który za pieniądze daje gościnność występkiw—takim *Hautes Noctes* wszelkiego rodzaju—nie jest współnikiem cudzoziemca nurzającego się w zepsuciu?

Ale wracajmy do rejestru rzeczy. Książka rozpada się na 6 tegich rozdziałów zatytułowanych: *Gens de la nocte, Proxenetisme et Cancan, Les drames de la nocte, Les viveurs étrangers; La fête financière i Autour du tapis vert*.

Pomiędzy innymi rodakami i blizkimi sąsiadami w tych wspomnieniach ma sobie poświęcony osobny rozdział sławny Markowski, którego p. Wolff, jak się zdaje, osobiście znać musiał.

Mizerny tancmistrz staje tu przed potomnością, jako figura dość smutna. Wogóle portrety naszego malarza wspomnień paryżkich nie bardzo są pochlebione. Warto zobaczyć, jak Wolff urządził całą tę zgrają; w której figurował także i oryginalny książę „Cytryna“ (Prince Citron).

Pamiętniki Wolffa dają nam bogatą galerią oryginałów począwszy od pani Musard i panny Izabelli,—kwaciarki Jockey-Clubu. Wszystko to obmierzłe! Autor opowiada co przeżył, czego doświadczył. Postacie jego są prawdziwe, rysowane z talentem i kunsztem, okazującym już zupełną dojrzałość. Wszystkie one prawie należą do świata finansowego, do arystokracji, do sportu i elegancji—do milionów. Jest to życie, w którym rej wiodą same wielkości, zatem życie, które nieuchronnie już prowadzi do przepaści. Panowie ci i panie błyszczą przez chwilę na bulwarach, na spacerach około jeziora w Łasku Bulońskim, na *turfie*: aż pewnego pięknego poranku—trzask! i cały gmach świetności w gruzy się rozpada. Jeden strzał z rewolweru—i wszystko się kończy. W tym rozgardyaszu paryżkim nikt nawet nie spostrzeżga, że jakiś tam jeden pionek zniknął. Uderzającym jest to, że w głębi społeczeństwa, tak, zdawałoby się, żadnego życia, tak niemogącego się niem nasycić, nurtuje jedna tylko namiętność, rzetelna, silna, pochłaniająca wszystko: owa starożytna *sacra auri fames*. Wzbogacić się—mniejsza oto jakim oposobem i w jakim celu—oto ostatnie słowo zagadki.

„Jedziesz np. do Łasku Bulońskiego;—mówi Wolff—musisz przejechać pod oknami dawnej śpiewaczki operetkowej; szczęśliwy jakiś gracz giełdowy jest tu panem w domu. Jedziesz do kąpieli morskich: pokazują ci willę spekulanta, któremu na pół roku przedtem nikt nie pożyczyłby nawet dwudziestu franków. Widzisz tego tenora? Miał tydzień szczęśliwy na giełdzie i wygrał 250.000 fr. Albo tego dziennikarza? Temu jeszcze się lepiej poszczęściło: fortuna dała mu trzykroć. Patrz dalej, oto wielki pan, z wielkim historycznym imieniem w dziejach Francji. Wiesz co on robi? Niesie 100 tysięcy franków jednemu z finansistów aby się zaciągnął do syndykatu giełdowego. Albo spojrz na tego wojskowego. Nazwisko jego znajdziesz na liście wszystkich możliwych rad zarządzających w instytucjach, o których ten człowiek, choćbyś go zarznął, nie ma najmniejszego pojęcia. Jest tu i zwyczajny lyk miejski, który przez trzydzieści lat dusił się w pakamerze swego sklepu, aby uciułać 5,000

franków rocznego dochodu, i dziś na starość z całym tem mieniem swoim dobija się miliona, bez którego żyć-by nie mógł. A oto tam oszust napiętnowany licznymi wyrokami sądowemi. Czołem! czołem! Czy wiesz, co za jeden? To tryumfujący milion!

Widzicie, że Wolff wcale nie pochlebia swemu Paryżowi.

Nic smutniejszego i zarazem oryginalniejszego, nad tego księcia, któremu bulwary przezwaly „Cytryna“ (Hollenderski „Prince d'Orange“). Ten dziedzic tronu ucieka przed etykietą i dolegliwościami życia dworskiego, chroni się do Paryża i tu prowadzi życie cygańskie; jaknajlepszy człowiek w świecie, tylko wynoszący swobodę osobistą nad wszystko i wszystko dla niej poświęcający. Żałujemy, że brak miejsca nie pozwala nam z większemi szczegółami opisać tego dziwnego zjawiska bulwarowego. „Książę Cytryna“ ma za sobą i oryginalność i fizioznomię bardzo sympatyczną. Sprzykrzyło mu się wreszcie cygańskie życie: powrócił do tych salonów i tego towarzystwa, do którego przeznaczało go samo urodzenie, ale już tylko nakrótka. Wszystko go już wtedy nużyło. Przyszła śmierć, aby go zabrać jeszcze młodym i przerwać pasmo tego życia, któremu mało równych znajdzie się w rocznikach domów panujących w Europie.

Portrety Wolffa wszystkie rysowane są z natury. Autor znał osoby; studyował je i umiał im wrazić to znajme prawdy, na jakie sztuka odezwana nigdy się nie zdobędzie. Wielkie przedsiębiorstwa finansowe dostarczają mu obfitego tworywa do sylwetek, zarysów i portretów wykonanych w całej postaci, które mu się doskonale udają. Wymieniamy tutaj: p. hrabiego de la Pannouse, znakomitego Philippart'a, p. Crampon'a z kolei „Continental-Memphis“, pp. Bontoux, Lepelletier'go i T'Knidt'a. Na tym ostatnim portrecie widać jeszcze inne oblicze, trzymane w stylu prawdy realistycznej: oblicze panny Lolo. Nie myślcie, aby ją autor idealizował. Ta Lolo odegrała bardzo ważną rolę w sprawach finansowych wielkiego wydrwigrosza.

Wszystko to daje się streścić w niewielu słowach. Wielki Philippart albo znakomity T'Kindt wyrasta niewiedzieć zkąd i kiedy; olśniewa swym poważnem braniem się do rzeczy, dystynkcyą i pewnością siebie; zakłada biura, zapełnia je urzędnikami, wywiesza szyld szumnie brzmiący: „Bank kontynentalny międzynarodowy ogólny etc.“; każe drukować rozmaite prospekta, rozrzuca je po świecie—i nareszcie może już sobie powiedzieć „l'affaire est lancée.“ Przychodzą mu z pomocą; w biurach otwiera się subskrypcya; prąd się ustala. Obietnice są tak ładujące, tak ponętne! Naiwna publiczność, zwabiona olbrzymiemi procentami, znosi pieniądze do kasy genialnego finansisty. Akceje, sztucznie podbijane, idą w górę i przez kilka miesięcy przedsiębiorstwo ma wszystkie pozory dobrego interessu: aż naraz, wyłudziwszy miliony, wielki Phillipart lub znakomity T'Kindt ulatnia się bez śladu. Kiedys dopiero, później, złapią go na jakimś nowem oszustwie—jakiejś drobnostce, którą sobie lekceważył; ale ów kawał raz urządzony już zostanie. P. Lolo będzie sobie podawnemu mieszkać w pałacu, ale ten pałac teraz to już jej niezaprzeczona własność: wierzycielom do niego zasię.

Wolff wytacza proces, nietylko tym „weselnikom“ milionerom, ruinującym biedne rodziny i spekulującym na naiwność drobnych kapitalistów: utrzymuje on jeszcze, że pierwsze zapisy na owe spekulacje jawnie podstępne wychodzą od ludzi równie występnych, jak sami założyciele. Na bywają oni papiery nic-warte, wiedząc o tem, że musi nadejść chwila sztucznego podbicia ich w górę i kupują właśnie na to tylko, aby odprzedać i zarobić. Niekiedy ci mali chciwcy łapią się w siła, nastawione przez wielkich, ale najczęściej wywikłują się z matni bez szkody, a nawet z zyskiem. Innych spychają w swoje miejsce.

Cały jeden rozdział poświęcony jest zielonemu stolikom. Jasnieją tu Grecy paryzcy, hazarderzy perujący po klubach i kasynach. Gra hazardowa jest niejako zabronioną we Francyi—nie wolno tam trzymać otwartych domów gry; ale za to gra potajemną idzie przepysznie po klubach. Gre-

cy z nadzwyczajną zręcznością umieją wświdrować się w najlepsze towarzystwo. Raz wprowadzeni, oszukują już na gruby kamień. Wprawdzie panowie klubowi mają nowo wprowadzanych na oku i niekiedy uda się im odkryć fałszerza, ale żaden klub nie chce sobie robić złej opinii i ciągać zdemaskowanego łotra przed sądy. Grek, wygnany z klubu paryzkiego, po otrzymaniu wypędzającej go odezwy, potrzebuje tylko zanurzyć się w Paryżu, aby pod przybranem nazwiskiem wypłynąć napowrót np. w Bruxelli.

Po klubach i szulerach przychodzą *bookmakers* i wreszcie „Wesele na podróżach“: Baden, Ems, Etretat. Baden niegdyś stacya etapowa Paryża żyjącego na wielką skalę, pozostawił niezatarte wspomnienia pomiędzy dawnymi swoimi gośćmi. Niestety, Baden, dzisiejszy nie jest już nawet cieniem dawnego! Nie jeździ się już nawet do Badenu. Niegdyś przyjeżdżali tu Paryżanie z kieszeniami wypchanymi złotem, śmieli się i dokaazywali, a zgrawszy się do ostatniego szeląga, pozyczali po 5 franków na obiad w Strasburgu. W domu kolejowym—i śmieli się znowu, jakby nie Dobry humor nie opuszczał ich, od samego Renu aż do Dworca Wschodniego. Prowincyały, patrząc na *express* z Baden-Baden, mówili sobie: „W jakich to powraca humorach! Musieli chyba rozbić bank Benazetowi.“ W rzeczywistości tymczasem najczęściej dostawał się taki „wesoły jegomość“ do mieszkania swego w Paryżu w stanie tak wielkiej golizny, że nie miał nawet czem zapłacić dorożkarzowi.

Wolff—sam gracz namiętny i poważający się też bronić gier hazardowych, widzi, że się czasy bardzo zmieniły na gorsze. Smutne to czasy! Niema już Benazeta w Badenie, nikt się już tam nie zgrywa do koszuli. W miejsce *trente et quarante* jakis *top* holenderski, w miejsce ruletki, stolik z wistem. Płakać tylko nad tą ciszą grobową!...

A teraz zsumujmy wrażenia, jakie sprawiają te obrazy życia paryzkiego, i zastanówmy się nad niemi. Smutne tylko powziąć z nich można wyobrażenie o wieku naszym. P. Wolff moralizuje, pali kazania, piętnuje oszustwa, ale nie znajduje nawet jednego słowa przeciwko wyuzdanym namiętnościom, w których oszustwo początek i źródło swe bierze. Wręcz przeciwnie: autor usprawiedliwia graczy, ma litość i współczucie dla owych „weselników“, mówi o nich: „dobre chłopcy!“—niema nic do zarzucenia tym wybrykom głupiej, bestyalnej zmysłowości. Godzi tylko w samych łotrów, oszustów, urwipołciów. Ale zkądżeż się biorą wszystkie te gatunki ludzkie? Zaczyna się zwykle, tak, jak ten biedny de P. wypędzony z Klubu Mirlitonów: gra się zrazu niewinnie, a kończy na złodziejstwie. Te Wesele Gody Paryża raczej potworne, niż powabne... przyciągają młodzież, psują ją i szpecą. A któż zarabia na całym tym szabasie czarownic? Przemysł handel, hotelnicy i restauratorowie paryzcy.

OSTATNIE UTWORY JOKAYA.

Gród Bogów. — Przez wszystkie piekła. — Ostatni Basza Budy — Bolivar.

(Dalszy ciąg).

Jest to jego najdroższa, najwyżej umiłowana kochanka, bo ta, któraby do tego tytułu na zwykły, ludzki sposób prawo rościć mogła, zostaje poza nim gdzieś w cieniu, w dali zostawiona. To potem... narzeczona, wesele, rodzina i ciche szczęście domowe—to potem, gdy Węgry będą wolną szczęśliwą krainą! On teraz tylko Niemca przy boku wybranej kobiety znieść nie może, i Barbara Kaniszaj ledwo się ukazuje czytelnikowi: błada, kilku pociągami pióra ledwo zarysowana postać, po to tylko zdająca się istnieć, aby stanowiła jeden więcej powód nienawiści pomiędzy dwoma ludźmi dwóch obozów, których polityczne konieczności zestawiają ze sobą. Gdy kochanek jej pierwszej młodości ginie, gdy Niemiec, Konrad Funk von Funkenstein, zostaje tryumfujący na

jego mogile, Barbara przywdziewa welon zakonny i usuwa się za kratę klasztorną—nieszczęśliwa ofiara nieszczęśliwych czasów, córka matki nieszczęśliwej!...

Druga kobieta, występująca tu już wydatniej, córka Abdi-Baszy: podstępna, zepsuta istota, okrutnie igra z sercem niebacznego młodzieńca, w którego życie, niemogące się rozwijać naturalnie, niemogące mieć swojej szczęśliwej, wesołej, słodkim kwiatem miłości kwitnącej wiosny, wstępuje na jej miejsce miłostka i piękność, podniosłość, czystość jego charakteru patryoty kazii: wydobywa z głębi jego istoty złe namiętności, które już mogły go być pociągnąć za sobą do ciężkiego upadku. Kobieta obcego rodu w starém gnieździe tego węgierskiego szlachcica! A cóż gdyby to już było faktem spełnionym w chwili, gdy stosunki międzynarodowe, nagle zaostrome, wywołują starcie—walkę, w której maż rzucić-by się musiał z gołem ostrzem swej szabli na rodzoną krew żony; na jej braci, na jej ojca starego—jeźeliby nie chciał być renegatem i zdradzać węgierskiej ojczyzny? Jokay zarysowywa tylko to wszystko; tragedia rodzinna takich okrutnych położeni ukazuje się jedynie w perspektywie dali ciemnej, dając czytelnikowi niespokojne bicie serca; gdy tymczasem na widownią wypadków występuje inny, groźniejszy dramat, w którym rozgrywają się losy, już nie pojedynczego człowieka. Turcy opuszczają sprawę Węgier i teraz ze zmianą polityki następuje dla biednego, brzytwy chwytającego się narodu, zmiana frontu w walce z wrogiem. Rok pański 1686 jest rokiem ostatniego obłężenia i wzięcia Budy. Europa widzi w tem jeszcze jakoby wojnę krzyżową, walkę Półksiężyca z Krzyżem Chrystusowym i w wojsku oblegającym są grandowie hiszpańscy, lordowie angielscy, polscy i francuzcy rycerze. Petnehazy zostaje pod kommandą walecznego i szlachetnego wodza, przyjaciela Sobieskiego, jedynego między Niemcami, który umiał oddać mu sprawiedliwość—pod kommandą Księcia Lotaryńskiego, mając pod sobą pułk lekkiej konnicy węgierskiej. Najniebezpieczniejsze pozycje zawzięcie przez Turków bronionego, silnie umocowanego miasta jemu się dostają do szturmowania; czy przeciw dzieje się to tylko za sprawą przypadku, przeznaczenia? Nie! jest tu ktoś, którego ręka mota w koło niego nie intrygi, współzawodnik do serca Barbary Kaniszaj, będącej teraz pasierbicą niemieckiego generała Mantouffa—wróg skryty i nikizemny, graf Funk von Funkenstein, który nienawidzi w nim rywala i patryoty węgierskiego, byłego Karuczana. Ci dwaj ludzie walczą obok siebie, jak na turnieju rycerskim, Petnehazy wychodzi zawsze zwyciężca, bije się jak lew, i można mu zawsze wołać: —Górą Madziar! górą!...gdy nagle Madziar szaleje, obłąkany bodzie ostrogą boki rumaka toczącego już krew z pianą, aby nakoniec rzucić się razem z nim w przepaść i ledz w niej z rozstraskaną głową.

Nieszczęśliwy został otruty w chwili, gdy szturmowane miasto się poddaje, gdy po ciężkich zapasach walki biła godzina odpoczynku i zaszczytów. Graf Funkenstein zostaje mianowany komendantem Budy, a ciało węgierskiego rycerza idzie w ciemny, zimny grób, i dziewica węgierska zostaje zakonnica. Szkoda, że Jokay tak jej uskąpił miejsca w powieści, że nie wyprowadził jej wcale na widownią rozgrywających się wypadków, nie kazał jej choć przesunąć się przez nie, jak przesuwają się czasem przez błękit gwiazda, za którą ciągnie się smuga światłości. Sierota po ojcu, którego wdowa zaślubia wprędce niemieckiego dygnitarza, zdająca się tonąć w elegancji niemieckiej, zapominając kochankę pierwszej swej młodości, a potem nagle, w godzinie żałoby po nim, zakonnica: to postać tragiczna i mająca w głębi serca swego ciekawą historią uczuć.

Obok Petnehazego autor postawił tuż zaraz na zdobywanych szanach Budy wiele interessującą historyczną osobistość. Ojciec Gabryel, mnich węgierski reguły Ś-go Dominika, nazwany przez Turków „Gabryelem Ognistym“, bo na podobieństwo księdza Marka stawiał on nogę „na działach śpiewających mu imię Boga“, dowódca artylerji, kierujący obłężniczymi pracami bombar-

dowania twierdzy i okopów tureckich, tak zajmuję czytelnika, że ten żalem upomina się u autora, dlaczego nie dał mu wiedzieć o nim coś więcej, i inaczej pozytywnego, niż ta fantazyjna zapewne historia jego początku, z którą w Budzie, jeszcze trzymanej przez Turków, odkrył się przed Petnehazym: fałszywy imam, fałszywy wielki mufty jerozolimski, coś jak czarnoksiężnik z *Tysiąca i jednej nocy*, którego talizman otwiera wszystkie zamki, mądrość wszystko przewiduje i czyni posłusznym jego woli narzędziem. Ta, coraz bardziej w pismach Jokaya zaznaczająca się maniera bajki, legendy ludowej, girlandująca nawet historyczne jego utwory, nie zdaje mi się szczęśliwą: przeciwnie, jej fantastyczność psuje niejednokrotnie efekt rzeczy, ztądinał wysoce pięknych i szlachetnie pomysłanych, które przy innej ich ekspozycji wywierałyby wielkie i silnie wzruszające wrażenie. Ojciec Gabryel, taki, jakim przedstawiają go właśnie przez Jokaya cytowane kroniki: książd wedle ducha ewangelicznego i razem wierny syn swego kraju, sługa Chrystusowy w ofierze mężny, w poświęceniu rozumny — to postać wspanialsza w prostocie takiej prawdy historycznej, niż w przebraniu jakiejś fantazyjnej, wprawdzie oryginalnej, ale — powiedzmy prawdę — dziwacznej i do naszego smaku starych już społeczeństw nieprzystającej szacie.

Więc też żal mi bardzo tego prawdziwego ojca Gabryela, którego nam Jokay za sensacyjnym złudzeniem schował i przemienił, żal tem więcej, że był to, jak Jokay wspomina, przyjaciel jakiegoś naszego ziomka „czciwego, walecznego Polaka“ Pisterskiego, który był plac komendantem Raabu i któremu Ojciec Gabryel, mieszkający tam w późniejszych latach zapewne w klasztorze, lub przy kościele miejscowym, udzielił szczegółów o losach niecnego zabójcy i truciciela, grafa Funkensteina, który jako podły zdrajca, z Turkami przeniewierczo się znośzący, i chcący przedajnie wydać w ich ręce twierdzę i miasto Buda, został za rozkazem cesarskim w tejże Budzie d. 9 Kwietnia 1687 r. ścięty.

Jokay przytacza w całości skazujący go na tę karę list Leopolda I-go, który rozporządzał, aby po ścięciu ciało zdrajcy zostało na cztery części rozświetowane, a serce, wydarte z podłej piersi, w usta wtłoczone.

„Od tego czasu — zakończy Jokay — wiele wody i krwi ludzkiej przepłynęło u bram starej Budy; o potężnym, przyniatającym Europę narodził tureckim świat mówi, jako o wielkim zjawisku, które było, lecz, które coraz-to więcej rozplywa się i zaczyna już znikać: gdy biedne, często przez ten świat zapomniane Węgry, przecież w godności swej narodowej niezmożone żyją!...“

I „żyć będą wiecznie“ — dodaje Jokay w uczuciu synowskiej swej miłości, a ten epilog powieści odpowiada przedmowie, w której autor odzywa się tak do czytelników swoich: „Narodzie węgierski, weź do serca to, co opowiadać będę. Wieleś przeciwko samemu sobie nagrzeszył, ale już też odpokutowałeś wiele: szukałeś niebezpieczeństw i znalazłeś je, odrzuciłeś precz od siebie szczęśliwą dolę, i ta nie dała ci się już znaleźć nigdy!...“

„Ciężka ci potęga, odziedziczona po królu Macieju, i zaledwie mogłeś cię doczekać, aby ją na drobne kawałki roztrzaskać. Obdzieliło się nią mnóstwo, ale na prawdę nikt jej już nie posiadał.“

„Gdy wrogi, które przysięgły twą zgubę, stanęły na granicach twoich, tyś wtedy klócił się między sobą i sam krew sobie puszczałeś. Gdy nadszedł dzień wyroczny, zastał się nieprzygotowanym, i ze snu obudzał cię dopiero krzyk: Bada!... Naród potężny wystawił na obronę swoją ledwo garsteczkę ludzi — padli oni, wiekopomna chwała otoczyła ich groby i ci, którzy pozostali, mogli zazdrościć spokoju nieżywym. Dumny, swobodny Madziar nauczył się schylać ku ziemi na komendę; płacił haracz w nieprzeliczonych kupach złota, sługom pańskim całował ręce i nogi i nazywał ich jaśnie wielmożnymi.“

„I widział jak jego twierdze w gruz się rozsypują, jak z wieżyc jego kościołów błyska półksiężyc muzułmański; uczył się tureckiej, tatarskiej

mowy, aby umiał w niej prośby zanosić. Jego piękna, rozległa kraina została rozdarta na dwie części: jedną połowę wzięło sobie państwo rzymskie, drugą cesarstwo tureckie. Herbowa jego tarcza została też podobnie napół przełamana: były tam na niej cztery srebrne, falisto płynące rzeki: dwie poszły na jedną, dwie na drugą stronę. Węgrom zostało się tylko środkowe — czerwone, krwawe pole!“

(Dokończenie nastąpi).

Kartki z wycieczki do Pesztu.

(Dokończenie).

III.

Pawilon królewski, pawilon sztuk, Rolnictwo i leśnictwo. — Przemysł domowy i szkoły. — Kroacya i Sławonia. — Wschód. — Dział techniczny. — Węgierki. Rzut oka na gmachy, kościoły, pomniki i osobliwości Buda; esztu.

Pawilon Kroacyi i Sławonii przypominał nam pawilon Miasta Lublina na wystawie warszawskiej, nie dlatego, aby można porównywać ten kiosk, a w nim garstkę wyrobów lubelskich do wielkiego dwupiętrowego budynku Kroacyi i Sławonii; ale dla podobieństwa stosunku do całości wystawy: mała wystawa na dużej wystawie. Pomieścili się tu wszystkie grupy pod jednym dachem, aby dać całkowity obraz skupionej pracy słowiańskiego plemienia, pod macoszą opieką madziarską zostającego; zgromadzono tu wszystko, co o bogactwie kraju, pracowitości i przemysłu jego mieszkańców świadczy. Na środku budynku spotykamy olbrzymie organy, a obok nich płody rolnicze, rudę żelazną, węgiel, marmur, a dalej wody mineralne, wino i inne napoje; spotykamy wiele okazów tkanin, dywanów, a także najrozmaitsze i nader gustowne i misterne wyroby z drzewa. Na piętrze zgromadzono piękne okazy przemysłu i rzemiosł: wyroby porcelanowe, jubilerskie, tudzież stolarskie i tapicerskie. Na drugim piętrze zebrano nader drobiazgowo okazy wielu sztuk: ćwiczenia w pięknych tekach, książki, roboty kobiece, rysunki, modele. Można wejść jeszcze wyżej i z małego tarasu słowiańskiego objąć wzrokiem wielką wystawę węgierską i pomyśleć o liberalnym stanowisku Węgrów w Monarchii Habsburskiej i nieliberalnej madziaryzacji w koronie Ś-go Stefana. Zwiedzaliśmy następnie pawilon Bośni i Hercegowiny, które mają dopiero do tejże korony należeć; potem pawilon wschodni, który chyba tylko dla urozmaicenia wystawy węgierskiej krajowej dodano, pomieszczając w nim produkty i wyroby Serbii, Rumunii, Bułgarii i Rumelii. Dwa te pawilony, łącznie z bazarem bośniackim i urządzoną przy nim kawiarnią wschodnią i kawą na gęsto (zwaną u nas fusami), i usługą przy niej, strojną odpowiednio i zalotną i muzyką, przytem perkusyjną na metalowych strunach i handlem różnym oryginalnymi drobiazgami wewnątrz i zewnątrz pawilonów: wszystko to dodaje wiele oryginalności wystawie i unieść może nas na chwilę, jakby nazewnątrz Europy, w atmosferę innej cywilizacji, innych potrzeb życiowych, innych zwyczajów i obyczajów. Pawilon wschodni urządzone nader kosztownie i wiernie: co tylko oryginalnego i ciekawego Wschód dać może pod względem architektury, bogactwa, smaku, przedstawiono tu naocześnie i nader ponętnie. Na wstępie do oddziału serbskiego spotykamy malowniczo, niby żywy obraz, ułożony z figur żołnierzy biwakujących.

Pominać musimy niektóre budynki na wystawie, jak np. cztery wielkie restauracje, cztery mniejsze (czardy), wielką salę koncertową, mieszczącą w sobie wygodnie 1,000 krzeseł, piękny pawilon żeglugi po Dunaju z misternymi modelami, pawilon drobnego przemysłu, a w nim pracę więźniów, pouczający pawilon towarzystwa Czerwonego Krzyża, tudzież wiele innych pawilonów,

mieszczących w sobie okazy różnostronnego przemysłu.

Bogactwo Ziemi Węgierskiej uwydatniło się jeszcze w licznych produktach górnictwa i w licznych kolekcjach wód mineralnych. Bardzo bogaty zbiór okazów przedstawiło ministerium komunikacji; zarządy kolejowe zgromadziły dużo taboru i nieprzeliczoną mnogość aparatów, począwszy od lokomotyw i wagonów, a skończywszy na najrozmaitszych łąpkach od przyrządów elektrycznych. Zwracały powszechną uwagę wygodnie urządzone wagony, a w nich fotele i wózki dla chorych podróżnych. Dużo osób gramażyło się w pawilonie drukarni akcyjnej, gdzie na kilku prassach odbijano różne ozdobne ogłoszenia, reklamy i prospekty, związek z wystawą mające. Piękny nader anons o wodzie „Agnes forras“, odbity w trzech kolorach, ozdobiony fototypami, drzeworytami, rozrzucały po całej wystawie, nie pozostawiając nic do życzenia, pod względem typograficznym. Pozostawałoby co innego do życzenia: aby kobiety, przeważnie obsługujące presernią, mogły mieć czystsze bluzy i mniej przydeptane pantofelki, zwłaszcza nakładaczki, którym wypada stać wobec licznej publiczności na stopniach maszyny w połowie jej wysokości. Kwestya ta niewątpliwie stoi w związku z lichem wynagrodzeniem pracownic.

W trzech wielkich halach pomieszczono maszyny krajowe, maszyny zagraniczne, tudzież maszyny i wyroby zagraniczne, patentowane w kraju. Materiał to bardzo obszerny i ciekawy nader dla technika; my możemy tu tylko powiedzieć, żeśmy *widzieli* wiele maszyn i narzędzi rolniczych, przyrządów pożarnych, gorzelniczych i innych; że zwolennicy gospodarstwa mlecznego, które podobno wysoko posunięto na Węgrzech, gromadzili się koło centryfug, służących do robienia masła; że nie brakło tu maszyn do szycia; że damy licznie się gromadziły około przędzalni szkła, z którego piękne kwiaty, bukietki do tualety w mgnieniu oka rozkupywano. Podobno Węgrzy nie rozwinęli jeszcze dostatecznie swoich fabryk i nie wyrabiają tyle machin i narzędzi, aby potrzeby kraju zaspokoić mogli; dali jednak dowody na wystawie znacznego postępu w tym kierunku, dali dowody, że zrozumieli maxymę ekonomiczną: naród, który jest tylko rolniczym, jest biednym narodem.

Zbyteczna, sądzimy, tu zastrzeżać, że to jest pobieżny przegląd wystawy, niezupełny; że wiele rzeczy wspomniano tu bardzo ogólnie; inne znów całkiem pominięto. Ktoby nam chciał z tego zrobić zarzut, odsyłamy go do napisu naszego artykułu: podajemy tylko „Kartki z wycieczki do Pesztu.“ Zresztą od zarzutu tego łatwo uwolnić nas czytelnik, wyglądający końca; przewidujemy atoli inny, daleko poważniejszy, zarzut ze strony czytelniczek: cóżto za wystawa! Wszystko na niej było, a kobiet nie było? jakże się Węgierki łaskawemu sprawozdawcy podobały? Nie mogą nie odpowiedzieć na to pytanie, zwłaszcza, że na tem polu trzeba się liczyć z Węgrami, boć przecież niedawno urządzali wystawę pięknych kobiet.

Nie mogłem nie zwrócić uwagi na kobiety, których jest pełno na wystawie i rzeczywiście jakby nieodłączną jej część stanowią. Przypuszczamy, że dobierano piękne dziewczyny z ludu i mieszczaństwa do sprzedaży próbek wina, wody sodowej, wód mineralnych, cukierków, kwiatów, fotografii, biletów loteryjnych; niektóre z nich piękniejsze, że starannie wykończone i bogato ozdobne. Przy wodzie: „Agnes forras“ była dziewczyna z prowincyi, słowa ponemiecku nie umiejająca, piękniejsza podobno i delikatniejsza od wszystkich, jakie dotąd pośród ludu widzieć nam się zdarzyło; niemniej piękne i strojne dziewczyny podawały próbki wina szegedyńskiego i siedmiogrodzkiego. Węgierki są po większej części rosłe, okazałe, tryskające życiem i zdrowiem; kochają podobno nadewszystko — kąt rodzinny. Kobieta, jakich spotykamy mnóstwo w Warszawie, blada, anemiczna, szczupła, o nienaturalnych nerwowych oczach — liczy się do osobliwości na bruku peszteńskim. Warto, aby panowie lekarze wzięli to pod uwagę.

Dodajemy jeszcze jedną kartkę na zakończe-

nie, na której streszczamy wrażenia z paru wycieczek na miasto. Imponuje ono przedewszystkiem gmachami, w najrozmaitszym stylu budowanymi. Nie wiemy, któremu oddać pierwszeństwo, czy nowej Operze, czy Akademii Umiejętności, czy Muzeum Narodowemu, czy oryginalnie budowanej reducie. Nawet w porównaniu jednak nie może Peszt wchodzić z Warszawą pod względem kościołów, których ma zaledwie 16, i do tego bardzo niepozornych, zaćmionych olbrzymiemi gmachami. Ozdobniejsza jest nieco od innych katedra grecka i wspaniała nowa synagoga izraelska; obecnie buduje się kościół Św. Leopolda, którego model przedstawiony na wystawie, uderza podobieństwem do projektowanego u nas w powiększeniu kościoła Św. Aleksandra. Posiada też Peszt kilka pomników nowych, tylko nie z takim zachodem budowanych, jak w Krakowie pomnik Mickiewicza. Wszystkie one mniej więcej podobne do siebie: na kamiennym piedestale, więcej lub mniej ozdobnym, stoi figura. Widzieliśmy pomniki: Széchény'ego, arcyksięcia Józefa, Eötvösa, Petöfi'ego; ten ostatni wystawiono w r. 1882. Niezadługo naprzeciwko pomnika Széchény'ego, na Placu Akademii, stanie pomnik Deaka.

Zwiedzaliśmy zbiory starożytności w muzeum narodowym, gdzie nam pokazywano szablę Jana III i Batorego; zwiedziliśmy również wystawę sztuk, gdzie pomiędzy obrazami zauważyć można malowidła naszych artystów: Abramowicza, Brandta, Kochanowskiego, Sokółowskiego, Styki, Sztyndlera.

Imponująco wygląda zamek królewski w Budzie, na górze nad Dunajem. Stok góry upiększono bramami, kolumnami, tarasami; pokoje otwarto dla publiczności. Piękne są one wprawdzie, ornamentowane w stylu odrodzenia, slicznie odświeżone i wyłoczone; ale wszystkie podobne do siebie, a niezawierając żadnych śladów przeszłości, nie przedstawiają nic nadzwyczajnego do zauważenia. Dwa wielkie obrazy: Oswobodzenie Wiednia (bez Sobieskiego) i Koronacja Franciszka Józefa na króla z figurami portretowanymi, stroją dwie wielkie ściany, ale arcydziełami nie są. Po obejrzeniu nadzwyczaj skromnej kaplicy zamkowej weszliśmy na dziedzińiec i zjechali koleją łańcuchową do mostu; zjadł przez tunel, przebity pod górą zamkową, poszliśmy oglądać Budę, której większa część ulic przypomina pierwsze lepsze nasze miasto powiatowe. Do osobliwości Budy liczy się meczet starodawny, wzniesiony na wzgórzu.

I przyszło nam opuścić Peszt, nie zwiedzivszy nawet osobliwości, jedynej podobno na kuli ziemskiej, jaką jest Steinbruch (Köbánya); ale bo i jakżebyśmy mieli czytelnikom *Bluszczu* opowiadać o tak realnej rzeczy, jak 500,000 karmników.

Zapyta kto może: jakże tam z owym językiem węgierskim było? Jakoś to było — odpowiemy. Nie tak się je gorąco, jak ugotowano. Wierzmy, że Węgrzy wiele dokazać mogą, tylko nie z językiem swoim odrębnym, który może w zupełności wystarczyć dla nich samych i z którym też pozostaną u siebie i dla siebie. Do porozumiewania się z cudzoziemcami muszą używać języka europejskiego a ponieważ mieszczanstwo i kupiectwo francuzkiego, zdaje się, nie zna; musi tedy, chcąc nie chcąc, pozostać przy niemieckim. Węgierskie przewodniki i katalogi — kalendarzy — nie wystarczyły, wypadło tłómaczyć je na niemiecki. Wprawdzie niższa klasa (za wyjątkiem handlujących) mniej umie poniemiecku i z nią się jednak Polak porozumieć może, albowiem wielu jest Słowaków, od których też i Węgrzy poduczycyli się ich języka.

Władysław Nowicki.

Kronika działalności kobiecej.

— Dia 20 Września, miasto nasze utraciło kobietę szlachetną, poświęconą czynom tej filan-

tropii chrześcijańskiej, najwznioślejszej, najświęciejszej, która, nieograniczając się na datku samym, dokłada do niego część serca, część duszy swojej — świętej pamięci Teklę Russanowską z Podola, zamieszkałą w Warszawie od lat kilku. Zwłoki, którym obok Siostr Miłosierdzia towarzyszyły sieroty wszystkich dobroczynnych zakładów Warszawy, odprowadzono w 24 Września do stacyi Kolei Terespolskiej, dla przewiezienia w strony rodzinne, gdzie ziemia święta lekką im będzie. Między niesionemi wieńcami był jeden od Szwalni Ubogich Dziewcząt (w Gmachu po-Dominikańskim).

— Do wymienionych w przeszłym numerze *Kroniki* naszej wystawczyń ogrodniczych, zaszczyconych nagrodami, doliczyć trzeba p. Marcelłę Kaczyńską, która otrzymała dwa medale srebrne za soki i konserwy owocowe.

— Po egzaminie z ukończonego kursu pszczolnictwa, złożonym w Muzeum Pszczelnictwem na Koszykach, a który dla kobiet skończył się w d. 23 Wrzeź, świadectwo uzdolnienia otrzymało 35 uczennic, a mianowicie: Antonowicz Stanisława, Andrzejowicz Zuzanna, Betley Cecylia, Bielawska Zofia, Bogdanowicz Marya, Chodakowska Anna, Dębska Aniela, Dobiecka Jadwiga, Gątkiewicz Jadwiga, Gąsiorowska Walerya, Grabowska Marya, Kamińska Marya, Kloska Wiktorya, Kondratowicz Elzbieta, Kossowska Władysława, Korewienko Teressa, Korzeniowska Tekla, Malinowska Marya, Nawrocka Kasylda, Nehring Michalina, Niedzialkowska Helena, Nowicka Augusta, Panuszewska Helena, Plebańska Leontyna, Roszkowska Alexandra, Stockiel Weronika, Stępsowska Stanisława, Strzeszewska Marya, Trzciska Natalia, Waryńska Helena, Wolska Karolina, Wojde Eugenia, Wnorowska Aniela, Zbyszewska Antonina. Faktem, dobrze wróżącym o rozwoju naszego pszczolnictwa jest, że panie te pochodzą ze wszystkich, i to nawet najbardziej oddalonych, prowincyi, zatem nauka ich roznieciona po kraju, rozpowszechnić się może szczęśliwie i hodowla nasza miodu i wosku postąpi naprzód. Że miód jest towarem, mogącym znaleźć pokup i za granicami kraju, świadczy to, że sprowadzają go z Ameryki, zwłaszcza do Anglii, gdzie obecnie znakomita filantropka, Burdett Coutts, zaprowadza naukę pszczolnictwa między kobietami z usilnością i nawet z nakładem wielkim. Pisma angielskie, poświęcone rozwojowi pracy kobiet, nawołują je do pszczolnictwa, widząc w niem gałęź korzystną go i siłom kobiety odpowiedniego zajęcia: Miody amerykańskie bywają wyborne, zwłaszcza, gdy pochodzą ze stepów Ameryki Południowej, zwanych sawanami, ale ostatnimi czasy pokup na nie zmniejszył się, z powodu fałszowania, a nawet zupełnie sztucznego produktu, podawanego za miód. Pisma angielskie powtórzyły za organem aptekarzy londyńskich „Pharmaceutische Centralhalle“ ostrzeżenie przed tym miodem sztucznym, którego skład jest chowanym w tajemnicy. Przecież chemik angielski, Hager, rozbierając go, doszedł do przekonania, że wyrabia się on z kukurydzy. Krochmal kukurydzowy, traktowany przez kwasy organiczne, wytwarza syrop, który po pewnym zgęstnieniu i dwu- lub trzytygodniowym staniu nabiera smaku i wyglądu starego miodu. Nasz miód świeży, czysty, wonny znalazłby też niezawodnie na targowisku Europy pokup wyższy od amerykańskiego, któremu to fałszowanie zepsuło opinią.

— Na wystawie wileńskiej odznaczyły się okazy obory p. Gabryeli Skirmuntowej ze Szemektowszczyzny. Są one rasy szwajcarskiej i hollenderskiej.

— W Lipcu b. r., przybyła do Warszawy podróżniczka z dalekich stron świata, bo z Turcyi i Persyi, gdzie przebywała przez lat kilkadziesiąt. Jest to kobieta prosta; w 1853 r. pojechała na Kaukaz za mężem, który po kilku latach uciekł ztamtąd do Persyi, kędy żona, mająca w sercu uczucie przysięgi: „a iż cię nie opuszczę, aż do śmierci...“ poszła za nim. Mąż umarł niedługo; wdowa z trojgiem dzieci bez pieniędzy na powrót do kraju, przyjęła służbę w jakimś domu perskim i tam przy najwyższej oszczędności zebrała sobie sumkę, za którą mogła się dostać do

Konstantynopola, ząd — jak wiedziała — powrót do kraju był łatwiejszym. Zabrawszy więc dzieci, dostała się tam szczęśliwie, lecz znowu tak zubożała, tak przez kosztą podróży była ogołoconą z grosza, że trzeba jej było na nowo zdobyć sobie pracą własną możność drogi dalszej. Dostała się do kuchni sułtańskich; pracując ciężko wychowywała zarazem dzieci tak starannie, że wszystko troje umiało mówić językiem rodzinnym, wszystko troje rosło w religii swojej. Pomagali jej w tem księża rodacy, których energiczna i wytrwała kobieta umiała sobie wszędzie znaleźć i zjednać, aż nakoniec po 35 latach ciężkiej tułaczki, przybyła do Warszawy z dziećmi, które uczciwie dochowała w cnocie i obyczaju rodzinnym. Dzienniki nasze doniosły, że, uboga, poszła i tu w służbę, w pracę na chleb — bohaterka!..

— Pisma nasze doniosły o równie kochającym sercu, równie energicznej i pięknej naturze kobiety, także z ludu. Ludwika Waberska, żona warszawskiego kucharza, została rozdzielona z mężem który, powołany do służby wojskowej, został odkomenderowany do Turkiestanu; służąc także, pozostała w Warszawie do tej chwili tylko, aż zarobiwszy sobie i zaoszczędzwszy kilkaset złotych, mogła puścić się w drogę za mężem, z którym już się połączyła. Dowiadując się o takich rzeczach, można z Polem zawołać: — Jak mi Bóg miły! nieżli są ludzie!..

Jak mi Bóg miły, nieżli są kobiety naszej! Umieją kochać, mają, serce i głosy, które się dziś podnoszą u nas coraz silniej przeciw kobiecie, zwrócone być powinny wyraźnie przeciw kobiecie elegantkom i tym, przez pieściotliwe wychowanie zepsutym, wychuchanym, na duchu i ciele zesłabłym, które mogą żyć tylko w wygodach, a być szczęśliwymi i kochać tylko w dostatkach.

— *Gazeta Kielecka* zamieściła urywek starego rękopisu z r. 1609 noszący tytuł: „Leges sumptuariae“, w którym są takie paragrafy: „Ta, która sypia długo, płaci (kary) zł. 10.“ „Od córki, która nie umie ani praść, ani szyć, a strojów się jeła, matka ma płacić na miesiąc po zł. 12, a Pa- la Bogu złożyć rachunek surowy.“ Jest tam jeszcze: „Mężatka, która głowę sznuruje, zapłaci zł. 12; która mężem chce rządzić, zł. 20.“

— Akademia Francuzka udzieliła zaszczytnego znaku palmy akademickiej wraz z tytułem: „Officier de l'Académie“ dwóm kobietom: M-me Emeric, nauczycielce w instytucie S-t Denis, gdzie się wychowują córki officerów armii francuzkiej; M-me Errington de la Croix, żonie uczzonego podróżnika i towarzysze jego przez czas dwuletniego pobytu na Półwyspie Malajskim. W udzieleniu tej drugiej nagrody widnieje wyraźnie myśl Akademii, że żona, dzieląca pocziwie życie szlachetnego męża, godną jest połowy zaszczytów, któremi go kraj obdarza. I jest w tem słuszność najwyższa, bo mąż w domu nieszczęśliwy, przycisniony kłopotami powszednich spraw życia, pracą, na wymagania komfortu i szyku, maleje duchem, słabnie i tylko ludzie wielkiej energii potrafią się wybić nad stan taki, i to jeszcze nikt nie wie, ile siły marnie zażyli, ile jej uszło z krwią rozdartego boleśnie serca.

— Na paryżkiem przedmieściu Belleville, przy ulicy Clével, N 3, mieszka kobieta, o której nawet najdzikszy tłum przedmieść paryżkich mówi: „Celle là, c'est une sainte!..“ Gdy Paryż obłożony przedstawiał, zwłaszcza w ubogich swych dzielnicach, obrazy nędzy i braków okrutnych, gdy śmierć zbierała żniwo straszne, a choroby szerzyły się przerażająco, zamieszkała w Belleville panna ze starej francuzkiej szlachty, osoba przyzwoita do wygod życia ludzi bogatych, Hortensya de Broen. „Mission Médicale“ to był urzędowy tytuł jej działalności i nie fałszywy, jakkolwiek nieokreślający całkowicie zamierzonej przez nią pracy. Udzielana była w jej domu bezpłatnie pomoc lekarska i bywała dnie, w których po 180 pacjentów tu się zgłaszało, i to nie z samego Belleville tylko. Zgromadzono się w wielkiej sali, obok której, kto chciał, mógł pójść i pomodlić się w urządzonej na ten cel kaplicy, gdzie w godzinach porannych odbywało się krótkie nabożeństwo. Inni przechodzili kolejno do gabinetów, gdzie czekający na nich lekarze udzielali porady. Dawano im również lekarstwo

DROBNE LISTKI.

bezpłatne, często w razach najcięższych i jakiś zasilek spożywczy, w czym już przewodniczyła sama panna de Broen, i wtedy to zawiązywały się między nią a ludnością przyjazne stosunki, które prowadziły zwolna do wzmagania ducha biednego tłumu. Zwolna wzniosły się obok lecznicy szkoły: dzienne, wieczorne, niedzielne, szkoła techniczna dla dziewcząt, zebrania matek, na których kształcono je przez odczyty i pogawędki w materjach moralnych, edukacyjnych, higienicznych i ekonomicznych. Otworzyła się nawet czytelnia bezpłatna, wypożyczalnia książek—co wszystko razem tworzyło lecznicę moralną dla biednej ludzkości, którą coraz to silniej ogarniała rozpacz, uciskał głód, udręczała niewypowiedziana nędza. Dzieci szczególnie marły straszliwie i w takich to chwilach cierpienia: w chwilach niepokoju o drogie sobie istoty, lub boleści po ich stracie, matki szukały tu pomocy, której nigdzie w koło siebie już znaleźć nie mogły — szły do kaplicy, padały na kolana, modliły się nawet najdziksze, najoporniejsze dotąd na wszelkie wpływy moralnej, religijnej natury. P. de Broen pozostaje dotąd w Belleville, gdzie przebyła straszliwsze stokroć od czasów oblężenia, czasy Komuny, i działa, lecz: cicha, łagodna, nie wywierająca przymusu, zostawiająca ludziom obok świadczonych im dobrodziejstw wolną wolę.—Celle là c'est une sainte!..

— W Szwajcaryi w S-t Gallen, zawiązało się w roku ubiegłym za staraniem Elizy Honnegger, stowarzyszenie: „Związek kobiet szwajcarskich” i w dniu 19 i 20 sierpnia bieżącego roku, zebrało się w Aarau na pierwsze walne posiedzenie. Cel stowarzyszenia jest: „Możliwie najenergiczniejsze i najgłębiej sięgające rozszerzenie rozumnych i poważnie umysłem objętych pojęć o ważności stanowiska kobiet, i obowiązków kobiecych.” Jako podstawową zasadę swoją „Związek kobiet Szwajcarskich” stawia stowarzyszoną to, aby w czynnościach do celów stowarzyszenia dążących nie istniały żadne różnice politycznych stronnictw lub wyznań religijnych. Każda ze stowarzyszonych powinna się poczuwać do siostrzanych obowiązków względem najuboższej, a nawet najniżej postawionej, kobiety, zwłaszcza rodaczki swojej. Jakkolwiek założycielka i przewodniczka stowarzyszenia, wspomniana wyżej Eliza Honnegger, jest literatką: utalentowaną powieściopisarką i redaktorką pisma „Schweizerische-Frauen-Zeitung”, niemniej pojmując głębokie i względnie do szczęścia narodów, do szczęścia Ludzkości najwyższe znaczenie rodziny, pierwsze działania „Związku” zwróciła w kierunku domowych obowiązków kobiety. Zaraz w pierwszym dniu zebrania swego stowarzyszenie postanowiło zakładanie kantonowych szkół gospodarstwa domowego (Haushaltung) i szkół gotowania. Plan tych szkół podamy do wiadomości czytelników naszych, gdy ostatecznie opracowanym i przez „związek” przyjętym zostanie.

W roku zeszłym przez Uniwersytet Boloński na doktora medycyny promowana signora Guisepina Cattani została w tymże uniwersytecie mianowana asystentem anatomii. Jestto pierwsza kobieta, która, wzorem dawnych wszechnic włoskich, weszła w skład uniwersyteckiej drużyny; tylko że zajęcie jej, jako asystenta anatomii, jest najmniej przypadającym dla kobiety, najmniej odpowiadającym jej naturze. Signora Cattani jest już osobą nie pierwszej wiosny życia, jest mężatką; ale to przecież jej kobiecości tak z gruntu nie zmienia, aby jej tu wiele rzeczy przykrosci nie sprawiało.

— **Uczony francuzki chemik**, Chévreuil, urodzony w 1786 r., skończył w d. 2 Września lat sto. Używa on jeszcze pełnej siły władz umysłowych. Jest przytem zdrowy i w dniu sto pierwszych urodzin swoich przyjmował rano powinszowania przyjaciół, oraz różne deputacje od zgromadzeń naukowych, które zapelnily cały jego gabinet kwiatami; po południu zaś udał się na posiedzenie Paryskiej Akademii Umiejętności. Od lat blisko czterdziestu nie pije on żadnych mocnych napojów i choć ma apetyt bardzo dobry, jada niewiele i tylko dwa razy na dzień, co dwanaście godzin. Z powodu jubileuszu jego stulecia *Gaulois* podał listę znakomitych ludzi francuzkich, którzy przeżyli już ósmy krzyżyk. Po Chévreuil'u najstarszym z pomiędzy nich jest Dupin, który skończył lat 94; Carnot ma lat 84; Dr. Ricord sławny fizyk, 86; Arcybiskup Paryzki Guibert 83; Lesseps liczy także lat osmdziesiąt kilka; dziekan Iwalidów ma lat 92.

— **Municipalność Genui** zwróciła się do rządu włoskiego z żądaniem funduszu na uroczyste uczczenie pamięci Krzysztofa Kolumba, który to obchód ma się odbyć w 1892 r. i, jak zamierzają, ma być bardzo wspaniałym—połączonym z olbrzymią wystawą płodów Ameryki i otwarciem muzeum, w którym mieściłyby się wszystkie pamiątki pozostałe po wielkim podróżniku, oraz dokumenta, poświadczające jego pochodzenie i prawa do nieśmiertelnej sławy odkrywcy drugiej półkuli naszego świata.

— **Adelina Patti** napisała w albumie autografów Leopoldowej Rothschild następujące zdanie: „Po miłosierdzie idź do obcych; po radę do znajomych; do krewnych po nic... a będziesz zawsze dobrze zaopatrzonym.”

— **Sara Bernhardt** zawarła umowę obowiązującą ją do 225 występów na rozmaitych scenach Ameryki, tak na Północy, jak na Południu. Czas jest oznaczony od 1 Maja 1886 r., do 1 Maja 1887. Za każde przedstawienie dostaje 2,000 franków i trzecią część czystego dochodu, co zapewne pozwoli jej spłacić kolosalne długi, które dziś jeszcze wynoszą 750,000 franków. Napisała ona w tych czasach do dzienników paryzkich list, dowodzący, że aktorka nie kłamie na scenie uczucia, którego obraz przedstawia i przejęta przedmiotem śmieje się lub płacze, kocha lub nienawidzi—prawdziwie! Na dowód swego twierdzenia przytacza, że artystka Komedyi Francuzkiej, Croizette, po scenie otrucia się w sztuce Feuillet a „Sfinx” zawsze pozostawała przez minut kilka śmiertelnie bladą i miała zęby zaciśnięte kurczowo. „Ja sama—pisze—nie mogłam nigdy grać Fedry tak, abym potem nie mdlała, lub nie miała rzutu krwi ustami. Po czwartym akcie „Teodory”, w którym zabijam Marcellusa, wpadam w taki stan nerwowości, że za sceną, wracając do mego gabinetu łkam, płaczę. Gdy lzy nie przyjdą, dostaję ataku spazmów, co jest rzeczą owiele przykrzejszą dla otaczających i bardziej męczącą dla mnie.”—„Gdy się tak nie dzieje,—pisze w ciągu dalszym—gdy aktorka schodzi ze sceny zimna i spokojna, nie artystka to jest, ale wyrobница i niema w niej ani iskry tego ognia, który pali się w sztuce prawdziwej“ (?)

— **Zapis Wiktora Hugo** dla ubogich Paryża, wynoszący 50,000 franków, okazał się nieważnym, bo obejmujący go kodycył nie jest podpisany przez testatora. Położył on datę, ale zapomniał dodać podpisu i potwierdza to tezą, którą utrzymywał w „Les Misérables”, że szczęście

odwraca się od biednych. Wiatr zawsze wieje im w oczy.

— **Katarzyna Gambetta**, staruszka, mająca lat 105 umarła w Rzymie. Była bardzo biedna i utrzymywała się głównie z dochodu, który jej przynosiły jaja od trzech kur — jedynego mienia, jakie posiadała. Dzienniki włoskie podają, że była babką dyktatora Francyi, ciotką jego ojca.

— **Małżeństwa w Ameryce** zmniejszają się w sposób, zwracający uwagę. Pismo New - Yorkie „Nation” pisze, że gdy w Stanach Północnych w dziesiątku lat od 1850 do 1860 r., wypadało rocznie 22 małżeństw na 1,000 ludzi; od 1875 do 1885 r. było ich tylko 17. Żenią się coraz mniej w klassach zamożnych i rodziny są coraz mniej liczne; powodem tego—pisze „Nation”—jest zabiegliwość ekonomiczna. Stopa utrzymania, wydatki rodzinne podniosły się bardzo znacznie i różnica między dochodem a rozchodem budżetu domowego została naruszoną tak, że ojcu rodziny dostaje się w udziale więcej trosk, niżeli szczęścia.

— **Ostatni potomek Goethego** umarł i znaleziono wśród jego pozostałości ciekawe i nieznanne rękopisma poety: dziennik pisany własnoręcznie od 1776 r. do 1782, i od 1796 do 1832, szkic pierwszego aktu „Fausta” z przeznaczeniem na scenę, listy do żony. Znajduje się przytem znaczna liczba rękopism znanych poezyi. Dziennik, z początku bardzo zwięzły, staje się dalej coraz bardziej szczegółowym i objaśnia wiele stron późniejszego życia poety.

— **Podbiecie zwierzęcego świata**, to tytuł świeżo w Paryżu wyszłej i ciekawej książki. Człowiek, aby żył, nie cierpiąc głodu, zimna i nagości, musiał uczynić zwierzęta poddanymi sobie, robotnikami, sługami swojemi. Była to konieczność jego natury, jej potrzeb i warunków, jakimi otoczyła go przyroda ziemi. Postęp, w kierunku czynionych tu zdobyczy był postępowaniem w rozwoju społeczeństwa ludzkiego, w rozwoju jego cywilizacji i walka pomiędzy człowiekiem a zwierzętami była pierwszą uorganizowaną sprawą ludzkości. Historią tych dramatycznych zapasów i zwycięstw człowieka spisał Ludwik Bourdeau, szukając danych w lingwistyce i w archeologii, w Piśmie Ś-tym i starożytnych księgach Wschodu, w opowieściach podróżników, w obserwacjach naturalistów. Pełne gorącego interesu są epizody tej wojny odwiecznej, wykazujące: ile to siły, energii, odwagi i wytrwałości musiał rozwinać człowiek, aby uczynić hołdownikami swojemi stworzenia wrogie mu i dzikie a otaczające go do koła. Dzieło kończy się spostrzeżeniami nad rezultatem, wpływem i przyszłością udomowienia zwierząt.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz” w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

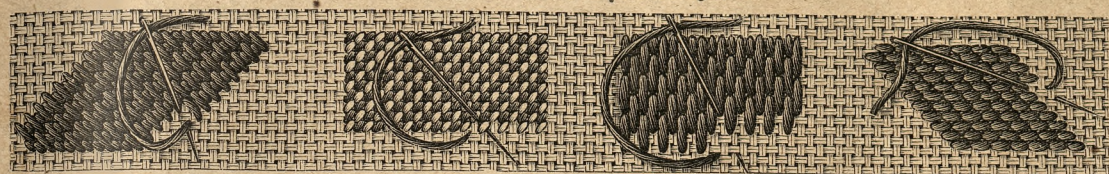
Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 7-my powieści pod tytułem: *Kora*, przez Mrs Forrester.

TREŚĆ. Jesień (poezya), przez Maryą Ilnicką. — Pogawędka. — Fryc i Frycek, nowella, (dalszy ciąg), przez Michała Wołowskiego. — Listy z Magdeburga XVI, J. I. Kraszewskiego. — Ostatnie utwory Jokay'a, (dalszy ciąg), przez Maryą Ilnicką. — Kartki z wycieczki do Pesztu, (dokończenie), przez Władysława Nowickiego. — Kronika działalności kobiecej. — Drobne listki.

Dodatek obejmuje: Arkusz 7-my powieści pod tytułem: *Kora*, przez Mrs Forrester. — Przegląd mód. — 26 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie — Dyspozycją stołu.



Nr 1. Szlak do kłęznika ryc. 6.



Nr 2 do 5. Wykonanie ściegów haftu do ryc. 6.



Nr 6. Kłęznik. (Do ryc. 1 — 5 i 7).



Nr 7. Czwarta część haftu do ryc. 6. (Do ryc. 2-6)

Kościoły żałobne.

Dawne suknie żałobne odznaczające się prostotą kroju, pozbawione garniowań, draperyi i w ogóle wszelkich ozdób, wyszły ze zwyczaju; terazniejsze ulegają wszelkim zmianom mody, na które zezwala surowy i poważny charakter tego ubrania.

Najbardziej używane na żałobne suknie materiały są: angielska wełniana krepa, „crêpe-bizon“, indyjski i francuzki kaszmir „foulé“, wełniana etamina i przeróżne rodzaje ażurowych, a nawet koronkowych materiałów. Na ciężką żałobę używają tylko wełnianych materii, a do przybrania wełnianej taśmy; na lżejszą etaminę lub „guipure-laine“, przybranej koronkami; atlas, aksamit i w ogóle świecące kosztowne materye, uważają się jako nie odpowiednie, nawet do przybrania żałobnej sukni; jedynie na bardzo strojne tualety konwencyonalnej żałoby, można użyć jedwabnej, lub haftowanej perełkami etaminę.

Przybranie żałobnej sukni stanowią poważne, fałdzone draperye, tak zwane „paysanne“, noszone są bardzo rzadko i jedynie przez bardzo młodziutkie osoby, podobnie jak ciężkie, gładkie, powłóczyste suknie, jedynie przez wdowy podczas uroczystości żałobnych; w każdym; zaś innym razie są to zwyczajnie okrągłe, byle nie zbyt krótkie suknie.

Fason stanika takż jak u innych sukien, tylko że staniki z ażurowych materiałów, podszewają się zwykle aż do góry. Kołnierzyki i rękawki obszywają się nie crêpe-lisse, lecz garniowaniem z matowej jedwabnej grenadiny, czarnego tiulu lub koronki na ciężką żałobę; na lżejszą zaś plastroiny, stojące kołnierzyki z perełek, z koronki haftowanej perełkami lub jedwabiem i sznelą. Z perełek tylko zupełnie matowe, odpowiednie są do ciężkiej żałobnej sukni, która w ogóle powinna być pozbawiona wszelkich ozdób, z wyjątkiem broszki.

Powszechnie używane materiały na pokrycie żałobnych kapotek; matowa jedwabna grenadina i krepa w deseń, z tegoż samego materiału robią się welony, których długość od 75 do 100 centymetrów, stosownie do gustu lub wzrostu osoby, szerokość zaś od 60 do 80 centymetrów. Fason kapotki może być więcej lub mniej podniesiony nad czołem, lub przylegający do głowy; do przybrania służą matowe perełki, egretki, lub same kokardy, plisy i fałdki z materiału.

Okrycia, paltociki, zarzutki robią się stosownie do mody, lecz jedynie z matowych wełnianych materiałów.

Czepeczki i ubranka z krepy, stosowne są tylko dla poważniejszych wdów. Rękawiczki do żałoby duńskie lub jedwabne.

Fałdowane staniki. Jeden z nowszych wynalazków mody przedstawiają fałdowane staniki, które prawdopodobnie będą noszone w bieżącym sezonie, a nie są niczem innym, tylko zręczną

draperyą, doskonale dopasowaną do kształtu figury; niektóre z nich robią się z całkowitego kawałka materiału, inne z dwóch kawałków tylko, lub z dodaniem boczków. Rozumie się, że staniki te dają się zręcznie zrobić z materiałów miękkich, bez podszewki, lecz natomiast noszone być muszą na sztywnych podspodnich staniczkach. Rycina 19, 20, 26 i 27 w Bluszczu Nr 38, przedstawiają takie właśnie staniki z dołączeniem opisów.

nym poprzecznymi ściegami szarym jedwabiem, tło środkowe zapełnia się białą włóczką i żółtym jedwabiem, tło zaś zewnętrzne ciemno-pasową włóczką, podług ryciny 2: 1 ścieg na dwóch parach wysokości i na 1 szerokości i 1 ścieg na 1 parze wysokości i dwóch parach szerokości.

Szlak otaczający środkowy haft poduszki, podany na rycinie 1 w naturalnej wielkości; liście i łodyżki tego szlaku haftują się ściegiem płaskim, zieloną i brązową włóczką, oraz żółtym jedwabiem, brzegi tychże żółtym i brązowym jedwabiem, ściegiem gałązkowym. Tło wypełnione oliwkową włóczką i brązowym jedwabiem; wązkie szlaczki, po obu stronach szlaku, zrobione są białą włóczką ściegiem płaskim, długie ściegi pomiędzy nimi żółtym jedwabiem. Pulpit klęcznika pokryty jest ciemno-pasowym pluszem.

Kapelusz filcowy.

Rycina Nr 12.

Okrągły kapelusz ze sztywnego filcu, z wysoką śpiczastą główką, z odwiniętym rondkiem, szerszym z prawej, a węższym z lewej strony, przybrany ciemno-brązowym aksamitem i jaśniejszym repsem „ottoman“. Rondko objęte pięcioma aksamitnymi pliskami, a dalej podszyte gładko aksamitem. Prawa strona upięta suto fałdowanym repsem i aksamitem, który z przodu formuje dużą, sięgającą aż do wierzchu główki kokardkę, tył główki i lewa strona objęta wązko przewiniętym aksamitem i repsem. Wysoka egretka ze strusich i fantazyjnych piórek z ptaszkiem, dopełnia przybrania kapelusza podług ryciny.

Kapelusz żałobny.

Rycina Nr 13.

Główka tego fasonika ze sztywnej petynetki, obciągnięta gładko angielską krepa; spiczasto podniesione nad czołem rondko, najpierw obciągnięte gładko, potem podszyte suto marszczoną bufką, a objęte wąską pliską, z tyłu zaś pięcioma wązkiemi pliskami. Przepięca z ufałdowanej krepy i welon 95 centymetrów długi, a 75 centymetrów szeroki, dopełniają przybrania kapelusza podług wskazania ryciny.

Czepeczek żałobny.

Rycina Nr 14.

Na zrobienie tego czepeczka potrzebna jest podstawa ze sztywnego tiulu, 38 centymetrów długa, pośrodku 9 centymetrów, a na końcach 2 centymetrów szeroka, do której przyszywa się główka w kształcie pół-księżycy, następnie obejmuje się drutem i wstążeczką i obszywa się w koło ufałdowaną, 9 centymetrów szeroką koronką; wierzch główki upięty marszczoną i przewiniętą w węzyk koronką. Pukle nad czołem i z lewej strony, oraz brydy ze wstążki repsowej, oszytej z jednej strony koronki, dopełniają przystrój czepeczka podług ryciny.



Nr 8. Stanik atlasowy z aksamitnym napierśnikiem ozdobionym malowaniem. Wzór pierw. str. tabl. Nr V, fig. 24.

Nr 9. Stanik aksamitny z kołnierzem i mankietami ozdobionymi malowaniem. Wzór pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 22 i 23.

Klęcznik z poduszką haftowaną.

Rycina Nr 1 do 7.

Klęcznik z rzeźbionego drzewa, z poduszką ozdobioną haftem na szarej kanwie „Jawa“, podług wzoru podanego na rycinie 7; haftuje się różnobarwną włóczką, jedwabiem i metalowym sznureczkiem, ściegiem płaskim, gałązkowym i mijanym: środki kwiatów oliwkową włóczką i brązowym jedwabiem, ściegiem, którego wykonanie wskazane na rycinie 3, liście kwiatów ciemno-pasową włóczką podług ryciny 5, duże zaś liście szaro-niebieską włóczką w kilku cieniach i szarym jedwabiem podług ryciny 4; żyłki liści oliwkową włóczką i żółtym jedwabiem, ściegiem gałązkowym. Na małe płasko haftowane listki, użyty brązowy i żółty jedwab, oraz zielona włóczka; na duże zaś zewnętrzne liście oliwkowa włóczka w kilku cieniach i żółty jedwab. Po wykonaniu haftu, każda z figur deseniowych obejmuje się stalowym sznureczkiem, przymocowa-

Kapelusz żałobny.

Rycina Nr 15.

Fasonik tej kapotki pokryty jest gładko podwójnie złożoną jedwabną grenadiną, rondko objęte wążką plisną i podszyte garniowaniem złożonym w kontrafałdy. Duża wachlarzowa kokarda z przodu i welon 90 centymetrów długi, a 80 centymetrów szeroki, dopełniają przybrania kapotki podług ryciny.

Ubranko żałobne.

Rycina Nr 16.

Na zrobienie tego żałobnego ubranka, potrzebny jest fasonik ze sztywnego tiulu, 39 centymetrów długi, z przodu 11, a na końcach 2 centymetry szeroki, objęty drutem i wstążeczką. Do fasonika z tyłu przyszywa się 28 centymetrów długi, ścięty ukośnie podług ryciny, kawałek angielskiej krepy; oszyty rulonikiem i wążką bufką; takąż bufką objęty przód fasonika, przybranie zaś stanowią przepięcia i końce z ufałdowanej krepy podług ryciny.

Suknia z materiału zwanego „Loden“.

Rycina Nr 23 i 24

Spódnica tej sukni zrobionej z szarego materiału zwanego „Loden“, oszyta jest u dołu 20 centymetrów szeroką, ułożoną w kontrafałdy falbanką, przystębnowaną w połowie swojej szerokości i podszytą od spodu 10 centymetrów szeroką plisowaną falbanką z jasno-szarego materiału. Przednia część draperyi, pokrywającej suknię, ma 205 centymetrów szerokości; tylna zaś 310 centymetrów; obie przybrane czarną wełnianą taśmą i udrapowane podług wskazania ryciny. Krótki staniczek z czarnym repсовym kołnierzykiem, przybrany taśmą; podobnież z fałdowanego repsu i taśmy zrobione mankiety i napierśnik, pod którym stanik zapina się na haftki.

Przepisy gospodarskie

Mleczko ryżowe.

Kubek suchego ryżu utłuc na mąkę, kubek migdałów słodkich, dwa gorzkie pomiędzy niemi utłuc także, dosypać kubek cukru i wymieszać wszystko razem. Zagotować cztery kubki, lub trzy kwatki mleka niezbiernego, w gotujące sypać powoli mieszaninę, ciągle łyżką mieszając, aż zgęstnieje dobrze i zagotuje się. Wylać na głęboką salaterkę lub w formę — wynieść do piwnicy, — a podając do stołu na zimno, polać

sokiem malinowym, lub ubitą z cukrem śmietaną.

Wyborne przechowanie kuropatw, jarząbków, słomtek, bekasów i t. p.

(Przepis dla Gospodyń wiejskich).

Na jesieni jest wielka obfitość dzikiego ptactwa, którego od razu zużyć niepodobna, idzie więc o to, aby ów nadmiar zachować na dłuższy czas do użycia w razie potrzeby, dają więc tu wypróbowany przepis na przechowanie w stanie świeżości dzikiego ptactwa.

Oczyszczone, opłókanie i oprawione jak zwykle do upieku kuropatwy lub t. p., bez solenia, włożyć na rożem i nad węglami drzewnymi dobrze rozżarzonemi piec z pięć minut, niczem nie smarując, ani posypując, aby tylko straciły zewnętrzna swą wilgoć. Gdy ostygną, zdjęte z rożna, mieć przygotowaną świeżą przecedzoną, jeszcze ciepłą tak, aby się dała lać fryturę, wlać jej na grubość tyłca noża na dno kamiennego słoja — ułożyć warstwę opieczoną zwierzyny uważając, aby jeden ptak nie dotykał drugiego — zalać wolnym tłuszczem i układać drugą warstwę w podobny sposób i tak samo ją zalewając. Postępować tak do dopełnienia słoja, choćby się od razu nie miało pod ręką tyle zwierzyny — można dokładać kilka razy. Gdy skrzepnie zu-

następnie do użytku, wyjąć z tłuszczu — nożem, odrywając zbyteczną jego ilość, — posolić, włożyć na rożen, a gdy się opieka z tłustością pozostałą na nich, smarować masłem lub słoniną młoda, a podając, polać młodem masłem z bułeczką rumianą. Trzy miesiące najmniej tak się konserwować będą.

Powidła z jabłek.

Obfitość jabłek w tej porze jest tak wielką, iż zużytkowanie ich stanowi często ambaras dla gospodyń — otóż wszelkie powidła w zimie, są bardzo użyteczne w gospodarstwie, a powidła z jabłek są o wiele lepsze, niżeli ze śliwek. W 11 edycyi moich „Jedynych praktycznych przepisów“, podałam różne sposoby na marmolady fasowane z jabłek, na wyborne serki jabłeczne i t. p., dziś podaje przepis na powidła, weale nie ambarasowny. O ile można najdojrzałe jabłka kwaskowate, bo ze słodkich nigdy nie dobrego zrobić nie można, pokrajać na ćwiartki, odrzucając jądra, włożyć w kociołek, przykryć i na wolnym ogniu ciągle pod pokrywą, aby sok puścił, gotować, mieszając od spodu łyżką drewnianą — gdy sok puszcza, można postawić na większym ogniu i odkryć, aby się rozgotowały, wtedy przeprasować przez rzadkie sita lub przetaki, wlać na powrót w kociołek i gotować żeby trochę się zgęstły, wylać w garnek kamienny lub na miskę. Na drugi dzień znowu wlać w kociołek czy rondel i gotować póki się gęstrze zrobią — z godzinę od zagotowania, ciągle drewnianą warząchwą mieszając, — na wolnym ogniu; na trzeci i czwarty dzień jeszcze powtórzyć gotowanie, póki nie spadają kawałami z łyżki i od rondla odstają. Takie powidła będą brązowego koloru i miłego kwaskowo-słodkawego smaku, smarzone od razu, naturalnie dłuższy czas, będą zawsze kwaśne i cierpkie.

Kalafiory.

Kalafiory są albo bardzo dobrą, albo bardzo nie dobrą i nie higieniczną jarzyną. Najprzód powinny być białe i ściśle, następnie obrane z listków, włożyć w wodę z kilkoma kroplami octu, aby zbiały. Na godzinę przed podaniem włożyć w rondel duży, nalać wodą zimną, osolić i gotować, póki się kilka razy dobrze nie zagotują, wtedy odlać wodę, mieć drugą ciepłą wodę na w pół z mlekiem, nalać nią odlane kalafiory, wsypać łyżkę cukru, dogotować póki miękkie będą, posolić jeżeli były nie słone, wyjąć ostrożnie dużym widelcem lub łyżką durszlakową na sito, osączyć z wody, ułożyć na okrągły półmisek, podłożony świeżą złożoną w kwadrat serwetą, polać masłem z rumianą bułeczką, a osobno w sosierce podać młode, tylko



Nr 10. Suknia żałobna z wełnianej krepy. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 12—20.

Nr 11. Suknia żałobna z kaszmiru. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1ab—11.

pełnie frytura, obwiązać słoje pęcherzem lub papierem albuminowym i zachować w chłodnej spiżarni — nigdy w piwnicy, bo zatechnie. Biorąc

rozpuszczone masło. Szodonowy sos do kalafiorów wyszedł z użycia, czasem podają je z sosem holenderskim, patrz „365 Obiadów“, edycya 13.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa rumiana z jarzynkami.
2. Sztukamięsa biała z ogórkiem.
3. Pomidory nadziewane (patrz „365 Obiadów“ edycja 13).
4. Kaczki pieczone z jabłkami.
5. Ciastka ze sliwkami.

KORESPONDENCYE.

Pani ***.

Hodowla pawi nie jest naszą specjalnością — raczy pani udać się z zapytaniem do zarządzającego ogrodem zoologicznym, który powinien być specjalistą w tym kierunku.



Nr 13 i 14. Kapelusz i czepczek żałobny.



Nr 12. Kapelusz filcowy.



Nr 15 i 16. Kapelusz i czepczek żałobny.



Nr 17 do 22. Dżetowe ozdoby żałobnej tualety.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze podane, dołączoną była do N-ru 38 Bluszczu.



Nr 23. Suknia z materyału „loden“. Przód. (Do ryc. 24).



Nr 24. Suknia z materyału „loden“. Plecy. (Do r. 23).

Nr 26. Suknia żałobna z grenadyny. Plecy. (Do r. 25).



Nr 25. Suknia żałobna z grenadyny. Przód. (Do ryc. 26) Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 21.